

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 12 MARCA 1927 ROKU

NR 11

TREŚĆ NUMERU: U Marji Rodziewiczówny — *Jadwiga Krawczyńska*. Pierwiastek mocy w twórczości Rodziewiczówny — *M. Domańska*. Pejzaż w utworach Marji Rodziewiczówny — *Wł. Janowska*. Jak czytało się Rodziewiczównę — *Karolina Bielańska*. Rozwój żeńskiego szkolnictwa zawodowego w Polsce — *C. r.* Zróżniczkowanie się typu kobiecego po wojnie — *C. Walewska*. Jak słońce spija rosę (opowieść) (c. d.) — *Helena Ceyssingerówna*. Święta prowincja — *M. Crnjanski* — w tłumaczeniu *M. Znałowicz-Szczepańskiej*. Hetman złotobrody i władczyni Libanu (c. d.) — *Karolina Bielańska*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B. Z teatrów* — *Z. P.* O wnętrzach mieszkaniowych — *Zygmunt Knothé*. Jak wynaleziono radio? (c. d.) — *Br. L. Życki*. Indywidualność stroju kobiecego — *Aleksander Borawski*. Drugi konkurs gotowania na gazie — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Kącik gospodarski. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”. Bielizna — *Well*. Różne zastosowania motywu haftowanego. Dodatek powieściowy: „Przestępstwo” — *Jan Żywnowski*. W saloon’ie „Pod czerwonym psem” — *G. N. Ordon*. Arkusz wzorów.

U MARJI RODZIEWICZÓWNY

W CZTERDZIESTOLETNIA ROCZNICĘ PRACY LITERACKIEJ.

Najdawniejsze moje wspomnienia o Marji Rodziewiczównie są dość dalekie, bo „Dewajtis” był jedną z pierwszych powieści, które — uznanej za „dorastającą panienkę” — dała mi do czytania kochająca ręka matki. Mówię o tem dlatego, że tysiące kobiet dzisiejszego pokolenia ma niewątpliwie takie same wspomnienia i podobną wdzięczność dla autorki, która świetnem słowem budziła idealne struny mocnych uczuć ukochania ziemi i człowieka.

Przyszło potem dla nas życie, przemiany, nowe horyzonty, burze i gromy — świat stał się inny zupełnie i serce zmęśniało i zgorzkniało u jednych, osłabło, lub zagaśło, lub rozrosło i rozpało się u innych — a jednak nazawsze u wszystkich pozostała smuga jasnego promienia — pamięć pierwszych przeżyć i wrażeń młodości. A lektura była jeszcze wielkiem przeżyciem dla naszego pokolenia, znacznie większem, niż dla młodzieży dzisiejszej, której wolno fantazję swą wyładować w bezpośredni, swobodny czyn.

Czytelniczki — nie pomijam, broń Boże, czytelników — niewątpliwie bardzo mile pomyślą o jubileuszu tej autorki. Czterdzieści pięć lat pracy, cały stos tomów, tysiące stronic zadrukowanych. Piękna to rzecz i warto ją ocenić i uczcić, jak czerpiemy z niej prawdziwą wartość i zasługę.

Krzepka, mocna w sobie, robiąca wrażenie siły, mimo niedawno przebytego zaziębienia, energiczna w ruchach bardzo prosta i niepretensjonalna w obejściu —

taką, odrazu, na pierwszy rzut oka, jest Marja Rodziewiczówna. Wybitne rysy powiększa i zmęśnia bielą przysypana czupryna, prawdziwie męska, „na jeża”. Może tylko z dużych, ciemnych, szarością błękitu i zieleni zachodzących oczu, wydobywa się kobiecy wzrok, owo wahanie — owo „a może?”, które jest granicą myśli i uczucia...

Narzekając nieco, jak ją też „ludzie męczą” świetna autorka z całą uprzejmością użycza mi paru chwil rozmowy dla „Bluszcza”. Proszę więc, by zechciała opowiedzieć mi o swem życiu i twórczości.

— Urodziłam się w samo powstanie — zaczyna p. Rodziewiczówna — i przezemnie stracili rodzice majątek swój, Piennicę w Wołkowyskiem. Ojciec był w powstaniu, a ponieważ ja byłam małą, nie mogli wyjechać i kosztowałam ich cały fundusz. Po powstaniu pognano rodziców na Sybir, a rodzina rozebrała między siebie troje dzieci. Miałam miesiąc, kiedy odwieziono mnie do dziada; po jego zaś śmierci opiekowała się mną daleka ciotka, Skirmuntowa.

Gdy rodzice wrócili z Sybiru, osiedli w Warszawie. Była to straszna nędza! Ojciec był rządcą domu — za 15 rubli; matka pracowała w fabryce papierosów. Dopiero później krewny, p. Pusłowski — trzeba pamiętać o dobrodziejach — chylił głowę p. Rodziewiczówna — zabrał naszą rodzinę ze stacji na Szerokim Dunaju i dał nam mieszkanie w Alei Ujazdowskiej.

Uczyłam się już wtedy potrosze. W 1877 roku umarł stryj bezdzietny i spadł na nas majątek rodzinny.

ny, Hruszowa, na Polesiu. Mnie matka oddała do Niepokalanek w Jazłowcu i tam skończyłam nauki...

— W jakim kierunku szły zamiłowania pani, skłonności myślowe w dzieciństwie i latach szkolnych? — pytam.

— Najbardziej kochałam nauki przyrodnicze. Jestem dobrym ornitologiem, mam nawet ładne zbiory — to moja pasja — oświadcza p. Rodziewiczówna, którą przecież najłatwiej byłoby posadzić o „pasję” do literatury.

— Wybierałam się na medycynę — ciągnie dalej jubilatka — gdy umarł mój ojciec. Wzięłam pod opiekę matkę i zostałam na ziemi. Odtąd całutkie życie spędziłam na Polesiu. Trzeba było ciężko się mozolić. Majątek był obdłużony. Ale spłaciłam dwoje rodzeństwa, a nie dałam, ani nie sprzedałam kawałka ziemi — broniłam jej całe życie. Zato teraz mam straszny ból! Komasuje się wieś rusińska, i zabierają mi ziemię. Tę ziemię, której strzegłam dla Polski — oddają w obce ręce... Gdybyż to swoim! Na osadnictwo dałam jeden folwark — Ale prawosławnym, białorusinom...

Zapytuję p. Rodziewiczównę o jej działalność społeczną i obecny tryb życia.

— Długie lata byłam w Zarządzie „Zjednoczonych Ziemianek” — oświadcza. — Ale wyszłam stamtąd, bo teraz nie ma czasu... Praca na ziemi bardzo ciężka i często trzeba brać się do niej własnymi rękami. Tylko na trzy miesiące w zimie przyjeżdżam do Warszawy, gdzie mam serdeczną przyjaciółkę — a ze szpakami wracam do moich błot...

O tych swoich błotach poleskich chętniej mówi znakomita autorka, niż o swoim literackim dorobku.

— Czyż to moja zasługa, że piszę? — powiada — I czy, właściwie, ja piszę, czy coś pisze przemennie?

A gdy pytam o technikę jej pracy autorskiej, uderzona tem powiedzeniem, znamionującym niebywałą samorodność talentu i żywiołowość słowa pisanego, otrzymuję potwierdzenie, że dzieło Rodziewiczówny, to niby strumień skalny, a nie mozołem ludzkim grzebana studnia.

— Piszę szalenie łatwo — mówi z prostotą autorka — Nigdy bruljonu, ani poprawek. Piszę, jak sama myśl przychodzi, jak pióro zechce.

— A szkic powieściowy, notatki?

— Nigdy nic. Szkielet jest w głowie, a potem rozwija się w miarę pisania.

— Czy może pani mi powiedzieć o swym debiucie literackim? Jak do tego przyszło?

— Matka moja, widząc, że stale coś sobie piszę, namówiła mnie, aby zgłosić się do konkursu. Była wówczas Konopnicka redaktorką „Świtu”, wydrukowała moją nowelkę — Jest więc moją „matką chrzestną” w literaturze. Później bardzo serdecznie żyliśmy, pisywałyśmy do siebie — piękny to był charakter — serdecznie wspomina p. Rodziewiczówna.

— A potem?

— Potem był „Dewajtis” w 1888 roku, a potem? — Co, kiedy, ile pisałam, doprawdy, nie wiem.

— Czy obecnie ma pani coś „na warsztacie”? — pytam.

— Piszę, ale marudzę od 2 lat. Może jednak wkrótce skończę. Będzie się to nazywało: „Florjan z Wielkiej Hłuszy”.

— Na jakie języki były tłumaczone dzieła pani?

— Kilka na niemiecki i francuski. Niedawno przysłano mi tłumaczenie jednej z moich książek — po węgiersku. Ostatnio na hiszpański przełożono „Dewajtis” i „Czahary”. A może zainteresuje panią, które jest moje „najukochańsze dziecko”? To „Lato leśnych ludzi”.

— Po tem, co już słyszałam od pani, wcale mnie to nie dziwi. To hymn na cześć przyrody!

— Nadewszystko lubię przyrodę — podkreśla jubilatka. — W moim lesie znam wszystkie ptaszki, rozróżniam wszystkie ich głosy, wiem, jakich mam u siebie gości. Ogromnie także lubię pasiekę i prowadzę ją sama.

Gdy bolszewicy zniszczyli mi wszystkie pnie, brakowało mi bardzo pszczoł w chórze... A czy pani wie — zwraca się z ożywieniem p. Rodziewiczówna, — że chór przyrody śpiewa cały na jedną tonację? Na „fa”, które w układzie tęczy odpowiada kolorom zielonemu i błękitnemu... Ale następnego roku przywiozłam sobie nowy rój z Warszawy i mam znowu swoje pszczoły.

Prawdę powiedziawszy, w moich błotach jest mi najlepiej — Jest tam bardzo pięknie. Płasczyzna, jak zielony bilard, ale nie ma jednolitości — tu pole, tam woda, tam błotko.

Swoja brzóska, swoja grobelka, swoje ptaszki — kończy dziedziczka Hruszowej, poetka lasu i wód, pola i pasieki, wpatrzona z zachwytem w czarujące piękno ziemi ojczystej.

Jadwiga Krawczyńska.



M. DOMAŃSKA

PIERWIASTEK MOCY W TWÓRCZOŚCI RODZIEWICZÓWNY

Pokolenie każde, które przeżyło okres wielkich wstrząśnień natury ogólnej, które żyło intensywnym życiem, odmiennym od codziennego, górnym i—zbyt często—chmurnym, pozostawia po sobie w spadku pokoleniu następnemu wykołowanie, upadek ducha, słabość woli, neurastenję, wyczerpanie zmysłu życia i porwy do czynu. Tak jakby fala psychiczna przepływała przez naród, czasem przez ludzkość całą, raz piętrząc olbrzymie zwały fal, to znów złożąc głębokie bruzdy.

Takie przypływy i odpływy zbiorowej energii widzimy przez cały ciąg dziejów.

W dziejach naszych, najsmutniejszym, najbeznadziejszym, spowitem w żałobę strzaskanych nadziei, niosącym na sobie cały olbrzymi ciężar nieudanych, szalonych bohaterstw i wysiłków—było pokolenie, które wzrosło po powstaniu 63-go roku. Tonie w atmosferze zabójczego smutku i żałoby. Dźwiga ciężar—wprost nad siły—rozpętanej, wścieklej represji mściwego wroga. Jest to naprawdę pokolenie, wzrosłe i wychowane w czarnej nocy beznadziei.

I oto właśnie historia tego nieszczęsnego pokolenia stanowi tło większości powieści Rodziewiczówny.

Hasłem chwili było wówczas: trwać! przetrzymać! jak ten polny szary kamień, przypaść do ziemi rodzonej i czekać—świtu jakiegoś wśród otaczających ciemności.

I naprawdę do szarych ugornych kamieni podobni są bohaterowie Rodziewiczówny.

Twardzi są ci ludzie, ponurzy i mało mówni; gdy mówią, to mówią także słowa twarde, czasem cięte. Są naprawdę „zrodzeni w niewoli, okuci w powiciu“, zmuszeni do liczenia się ze swymi słowami, do ukrywania najświętszych uczuć, bo wszędzie czyha wróg: podpatrzy, podsłucha, niemal bicia serc liczy podejrzeniu. Ludzie ci przetrwają wszystko, przeżyją wszystko, milczą na wszystko—i zawsze cel swój osiągną.

Nie! Słabości i wyczerpania niema w tem pokoleniu popowstaniowym, tak jak je maluje Rodzie-

wiczówna: jest moc, która cofnęła się w najtajniejsze pokłady samowiedzy, tam utuliła i działa cicho, świadomie, ale niezawodnie. Niby te polne kamienie, wrosłe w ziemię, niemal niewidoczne, deptane często, lecz nieskruszone nigdy. Przyjdzie ich godzina, i staną się niespodzianie podwaliną pięknego gmachu. Bohaterowie Rodziewiczówny nie znają roztkliwień nad sobą, nie znają wogóle okazywania tkliwości, chociaż często przepełnia im serca. Miłość ich, długo zazwyczaj skrywana, w objawach swych podobna prawie do nienawiści, zanim nie buchnie jasnym płomieniem szczęścia. Bohaterki Rodziewiczówny mają te same cechy, mają niby cierpki posmak leśnej jagody z borów. Umieją milczeć, z niesłychaną wytrwałością kruszyć wszelkie, czasem nadludzkie, przeszkody, aby wkońcu zawsze zaśmiać się promiennie do szczęścia, które zdobyć potrafiły. W powieściach Rodziewiczówny niema zwątpienia, złamania ducha, pesymizmu, rozdwojenia w sobie. Jej ludzie idą drogą prostą, najczęściej ciernistą i kamienistą—i zawsze dochodzą. Wszystko kończy się dobrze, przeszkody są zwalczone, cel osiągnięty, miłość zdobyta, ziemia, ten najdroższy „szary proch“—utrzymana. Rzucenie takich haseł, stawianie takich przykładów wśród ogólnego przygnębienia i rozbicia—to naprawdę był czyn społeczny.

Gloryfikacja mocy ducha nigdy może tak potrzebną nie była. Marek Czertwan, człowiek-dąb, stał się na długie lata nie tylko wzorem, ale i symbolem. Hasła, które były ideałem jego życia, dziś przebrzmiały wśród zdarzeń epokowych najnowszej doby, ale postać pozostanie, jako wcielenie niezłamanej niczem mocy polskiego ducha, która w chwilach najczarniejszych świetliście promienieć potrafi.

Na takich ludziach oprzeć się można, można przyszłość z nimi budować—a także szczęście własne. Tego rodzaju typy nie tylko w przedwojennej dobie były potrzebne: dziś tembardziej oglądać się trzeba za nimi. Pewność celu, konsekwencja w działaniu, moc ducha, niczem nie zachwiana—cóż za skarby bez ceny!



WŁ. JANKOWSKA

PEJZAŻ W UTWORACH MARJI RODZIEWICZÓWNY

„O ziemiol
Szczęśliwy, kto cię ukochał.
pan wielki, kto na zagonach
twoich żywot zbędzie.”

O Marji Rodziewiczównie powiedziećby można, iż ją los oddał na własność ziemi ojczystej. Ten nierozrwalny związek, w jaki weszła z ziemią, promieniuje z każdego jej utworu blaskiem miłości, z każdej karty bije ostry zapach rozoranej gleby. Jej natura żyje, krwią gorącą pulsuje, każdy obraz i fragment niezapomnianem utrwała się wrażeniem.

Przy opisie „Czarnego boru” odczuwa się stłumiony poszum z jego mrocznej głębi i wilgotne tchnienia podłoża. W kilku słowach zamyka autorka niesamowity nastrój i czar baśniany.

A kiedy maluje dąbrowę z prastaremi dębami płynie z niej archaiczny dech świątynnej powagi; widzi się święte, ofiarne kamienie, pokryte zatartymi runami, między którymi błdzi cień wielkiego Kriwe Kriwejty. Słyszysz się mowę drzew królewskich, przemawiających językiem naszych praocjów, i modlitwę w głębokim szumie liści.

I znowu inny obrazek, tylekroć spotykany. Ubogie łąchy piaskowe. „Biała, martwa łącha, wciska się pomiędzy łąki. Ludzie na te pola martwe składają swoje umarłe, — między ostami i piołunem wśród krzyży, stoi kapliczka bez drzwi i okien, na najwyższej sosnie ul pusty; nawet ptactwo tu nie swiergoce, chyba dzięcioł wypukuje zapamiętałe, a w powietrzu wisi nieruchomo sokół na czatach. Cisza tam taka, iż można podsłuchać owadzie rozmowy, przejąć dyszenie żaru...” Na to opuszczone cmentarzysko na piaskach zachodzi bezdomna staruszka, nędzarka szara, by usiąść na progu sierocej kapliczki z brodą białą w podniesione kolana i tak trwać nieruchomie, niby zastępy cień.

Oto jeden drobny wyjątek z galerii pejzażów, posiadający niesłychany nastrój, jednym tonem namalowany.

A ileż w nim barw i głębokich refleksyj.

Mistrzynią jest autorka w swoich pejzażach z Polesia. Podobną melancholję, z jaką kreśli pejzaż i nastrój „w zachodzie” może oddać tylko pióro artysty, podpatrującego naturę nie tylko zmysłami.

Na pustej, samotnej wysepce w rozwidleniu rzeki o leniwych nurtach, otoczonej trzęsawiskami, z zalewem splełanych dzikich jeżyn i chmieli, stawia niedorostka, trawionego febrą, strzegącego bydła braci od wczesnej

wiosny do późnej jesieni. Ten tragiczny sztafaż, raczej do upiöra podobny, tępy, nierozwinięty, ale przemyślny i złośliwy zlewa się z całą naturą, z gnijącymi wyziewami błot i malarycznymi oparami, uwięziony na wysepce na przeciąg kilku miesięcy. Wokoło niego samotność i sine wód rozlewiska. Obrazek ten, o beznadziejnie smutnym nastroju i tępej rezygnacji, jak koszmar senny budzi lęk groteskowy.

I znowu przesuwają się szeregi obrazów z łąkami, zatopionymi w słońcu, a kwieciami wonnym, jak kadzidłom mocnym, dymiącymi. Nad macierzanką i cząbrami grają owady i stoi cisza upału przedpołudniowego.

Krajobrazy Rodziewiczówny o każdej porze roku posiadają swój specjalny nastrój, indywidualnie przez autorkę widziany i odczuty, są jakby muzyką, ilustrującą treść i tworzącą z danym zdarzeniem spójną całość.

„Noc”.

...On płynie łódką w noc księżycową ze swoją umiłowaną żoną. Wie, że za chwilę pozbawi ją życia, bowiem w duszy tak postanowił. Z spokojnym tragizmem spogląda na wodę, płynącą w srebrzystej poświacie, na wiatrak nieruchomy, co się zaczernił na brzegu, by widmo złowrogie. Z obu stron rzeki torfowiska, tu i owdzie błyszczące świętojańskimi robaczkami; a z toni, czy z dali płaskiej, płyną szmery zduszone, ni to westchnienia, ni trwożne szepty, raczej dla duszy, niż zmysłów. Łódź ślizga się po fali, a za nią suną szmaty mgieł w kształt topielców. Drobne wiry zabulgotały, jak zmię się spieniły.

Odrębną barwą grają jej wsie szlacheckie i drobne, zapadłe dworki, utopione w sadach, a nasyczone są taką swoistością i bożym spokojem, iż jasną wizją stają przed nami. Słyszysz o wczesnym poranku śpiewane godzinki, skowronczane pieśni nad łąkami srebrnego żyta, rozchodzi się zapach pieczonego chleba z czeladniej, sad brzęczy i dzwoni rojącymi się nad pasieką pszczołami. Na takim tle odtwarza słodkie i dobrotliwe staruszki, ciotki, stare panny, jaką jest niezapomniana ciotka Anetka z Dewajtisa, zbierająca lecznicze zioła w dąbrowie pod świętym dębem; a tajemniczym i cudownym jest działanie owych ziółek, przyprowadzanych spracowanymi rękami ciotki Anetki. I darzą się jej pszczoły, bo sama do nich podobna skrętnością, a serce jej, niby ul miodny, tyle w niej słodczy i dobroci.

Na mogile rozkopanej, w której leżą zwłoki szweda, a stara sosna wżarła się korzeniami w jego czasz-

kę, znów widzimy prababkę, „Bielutką, całą srebrzystą“ w otoczeniu wnuków. Poniżej mogiły kołyszą się dostate łany. „W ukośnych promieniach słońca unoszą się słupy muszek i tumany zbożowego kwiatu“...

Gdyby autorka była malarką, jej wszystkie pejzaże byłyby stonowane z uderzającym w nich nastrojem, a o prostej koncepcji; jej jednak wystarczy kilka szczegółów, by osiągnąć malarski efekt i dać pełnię wrażenia.

Nie tylko odczucie natury jest tajemnicą uroku jej pejzaży. Wieczna, niegasnąca młodość, gorący poryw serca, tężyzna Jej duszy, a przede wszystkim Jej gorąca miłość dla ojczystej ziemi są owymi nieblednącymi, tajemniczymi farbami, zachowującymi swoją świeżość do końca.

Tak pojąć, odczuć i opisać rodzoną ziemię może ten tylko, kto przypadł do jej nagiej piersi i słucha tętna żywego jej serca.

KAROLINA BIELAŃSKA

JAK CZYTAŁO SIĘ RODZIEWICZÓWNE?

Garsć wspomnień.



to ją czytał z największym zapalem? Ano rzecz prosta, my, podlotki. Były to pierwsze powieści, które nam dawały do ręki, niejako przejście od „opowiadań dla młodzieży dorastającej“, do literatury współczesnej. Przejście łagodne. „Dewajtis“, „Straszny dziadunio“ fabułę miały cnotliwą i „kończyły się dobrze“, podobnie jak powieści z „Bibliothèque rose“, lub im podobnych. A jednak był w nich jakiś nerw inny i poznały go młode nasze dusze. Był szeroki oddech lasu i pól, był smak wiejskiego czarnego chleba po mdłych ciasteczkach. Śmieli się krytycy (A. Potocki) z entuzjazmu, który budził w panienkach Marek Czertwan. Niesłusznie. Nie był to najgorzej umieszczony sentyment! Rodziewiczówna uczyła szacunku dla ludzi pracujących, zaciętych w hardem milczeniu, znoszących ból z zaciśniętymi zębami. A że—przeprowadziwszy swego bohatera przez piekło udręki—dawała mu na końcu „piękną księżniczkę i słodkie konfitury“, — to właśnie dobrze! Tak się przecież kończą stare, mądre bajki i najnowocześniejsze filmy amerykańskie...

Co do nas, to kochałyśmy się nietylko w Marku Czertwanie, co w powstańcu Świdzie. („Pożary i Zgliszcz“, wydane pod pseudonimem Zmogasa, ale my wiedziałyśmy, że to była Rodziewiczówna). Dziś wydaje mi się rzecz owa mocno przerysowana, ale w owych latach (1885—6?) po cikliwych obrazkach pseudohistorycznych, jakimi nas karmiły czytanki, ta posępna powieść wzruszała, jak Grottgerowski stary obraz, rzucony na purpurowe, krwawe tło. Bohater gorzki, sceptyczny, idący wbrew opinii, a potem wążący głowę za sprawę beznadziejną, a jednak świętą, ten Aleks Świda, podobny kubek w kubek do Grottgerowskiego Sybiraka z „Etapu“, jego niesłychane przygody i cierpienia, znoszone — jak zawsze u Rodziewiczówny — bez skargi, był zupełnie wart

dziewczęcych sympatyj. W śmiesznych podlotkowych listach donosiłyśmy sobie o losach wygnania i jego narzeczonej, tej Władki o chmurnych oczach, a ustach pełnych słodczy i sercu bohaterskiem.

Niestety, była to powieść, która się „źle kończyła“, ale dlatego może tem większe zostawiała wrażenie. Za najsłabszą stronę uważano naiwny egzotyzm ostatniej części (Indjanie), a czyż dziś, w przygodach à la Jack London, nie szukamy podobnej naiwnej egzotyczności?

Życie szło wartkim pędem naprzód, a towarzyszami wielu chwil pogodnych i cichych były książki Marji Rodziewiczówny. Czytało się je tak miło przy okrągłym stoliku, w cichym wiejskim dworze, przy robótkach. „Kądział“, „Wrzos“, „Jaskółczym szlakiem“... Ileż miłych wspomnień, dobrych chwil...

Głębsze refleksje nasuwały „powieści wiejskie“, jakże dalekie od szablonu, łagodzące realizm Żołowski smętną poezją („Hrywda“). Bluźnią ci, co z uśmiechem równają dawną popularność Rodziewiczówny z obecną — Mniszkówny. Nawet dyskutować się nie godzi, wspomniawszy te żywe, a pogłębione chłopskie typy z kukielkami autorki „Trędowatej“. Łzy, które wyciskała Rodziewiczówna, były łzami zdrowymi.

Nadzwyczajnym probierzem książki jest danie jej w rękę nie półinteligentowi, ale rozumnemu chłopu. Jak prędko odleci plewy, a tylko szczere ziarno zostanie! My, cośmy na przełomie stulecia pracowali na polu czytelnictwa ludowego, wiemy dobrze, czym stały nasze biblioteczki. Trylogja, Św. Piotr w Rzymie („Quo Vadis“ w skróceniu), „Oko Proroka“ Łozińskiego i dużo, dużo Rodziewiczówny. Był znak nieomylny: zniszczenie książki, cieszącej się popularnością. Otóż z bibliotek wiejskich Dewajtis wracał wprost w strzępach.

Przyszła wojna. Pod ziemię skryły się biblioteczki, do okopów poszli czytelnicy. Ale zjawili się,

czasem inni, niezwykli, wygłodniali, pragnący książki, jak chleba.

Pamiętam taki epizod.

Pod okupacją rosyjską, już po wybuchu rewolucji. Te pierwsze sympatyczne chwile, kiedy na ludzi w szarych szynelach patrzyło się bez obawy i bez odrazy. Do drzwi od ogrodu (nie było już ogrodzenia, ani bramy) puka młody żołdak, o miłych, siwych oczach. Nie wygląda na złodzieja!—otwieram, prosię—o flaszkę jaką na lekarstwo, szpital był opodal—podczas, gdy mu jej szukam, chłopak patrzy pożądlwie na—szafę z książkami. „Tyle książek!”—mówi— a ja tak lubię czytać!.

— Gdybyś czytał po polsku, tobym ci dała.

Żołdat patrzy z dziwnym uśmiechem:—Pani, toż ja Polak...

Po polsku nie umie ni słowa, choć nie! pamięta kilka słów pacierza, którego uczył go dziad, sybirak zesłaniec.

Maciuk, czy Stasiuk, nie pamiętam już — podłasiak ponoć, unita.

Dałam chłopcu do czytania opowieści Orzesz-

kowej w rosyjskim przekładzie: Oficer — Htekuba. Czytał je z kolegami. Płakał i oni płakali.

Byli to Polacy, co umieli po polsku i po rosyjsku. Więc dałam im: „Byli i będą”.

I tej książki już nie otrzymałam z powrotem.

Powiedzieli mi, że to powieść najpiękniejsza na świecie i „sama prawda”.

Opowiadali treść jej memu pierwszemu znajomemu, wnukowi unity. Chłopak kłął się, że za pierwsze pieniądze kupi sobie polski elementarz i polskie książki. Żeby tylko dostać tę „najpiękniejszą książkę”

Była to powieść, drukowana w „Tygodniku Ilustrowanym”. I to wielkie, ciężkie tomisko zabrali moi przygodni czytelnicy. Co też stało się z nimi? Co stało się z Litwinem, ordynansem pułkownika rosyjskiego, który wyznawał mi, że dopiero „przeczytawszy książki, jakie były u nas schowane w piwnicy”—(historyczne i szkolne książki mieszkającego u nas profesora) „uznawszy, co to jest — Polska”!

I on wziął „Dewajtis” ze sobą. To pewna, że wdzięczniejszych czytelników nie miały te książki i gorętszych wielbicieli — autorka.

ROZWÓJ ŻEŃSKIEGO SZKOLNICTWA ZAWODOWEGO W POLSCE



Żeńskie szkolnictwo zawodowe rozwinęło się w Polsce znacznie później, niż w krajach zachodnich. Wtedy, gdy w Belgji, Szwajcarji, a nawet w Czechach szkolnictwo to stało już na dość wysokim poziomie, u nas myśleli o niem dopiero ludzie rozumni i dobrej woli,

ale bezsilni, gdy chodziło o realizację zadania, które powinno było wziąć na siebie Państwo. A Państwu zaborczym nie śpieszno było do podejmowania zadań, wychodzących na korzyść społeczeństwa polskiego.

Więc też w r. 1914 znajdowały się na całym obszarze obecnego Państwa Polskiego tylko 33 szkoły i kursy zawodowe dla kobiet, i z tych tylko 9, w zaborze austriackim, miało charakter ściśle zawodowy, a jedna tylko miejska szkoła rzemiosł w Krakowie dawała uczniom swoim, obok przedmiotów fachowych, także wykształcenie ogólne, czyli zbliżała się do typu szkół zawodowych zachodnio-europejskich.

W zaborze rosyjskim wysoko stały żeńskie szkoły handlowe. Z nazwy jednak tylko były one szkołami zawodowymi. Wyćwiczone, w uchylaniu ciosów z ręki zaborców, społeczeństwo polskie tego zaboru tworzyło te szkoły, w gruncie rzeczy — średnie, szkoły

ogólnokształcące, pod władzą Ministerstwa Przemysłu i Handlu, by uniknąć stosunku z Ministerstwem Oświaty, jego szykan i prześladowań.

Poza tem były dość liczne kursy haftu, malowania na porcelanie i t. p., oraz kursy krawiectwa i szycia, prowadzone przez mistrzynie cechowe, a zwane szumnie „akademjami”.

Zabór pruski posiadał t. zw. „szkoły przemysłowe”, dla dziewcząt, wyposażone nawet w piękne gmachy i bogate pomoce szkolne, ale, wbrew nazwie, w szkołach tych uczono dziewczęta wyłącznie gospodarstwa domowego. Kurs ich był jednoroczny.

Z takim, więc, niebogatym dziedzictwem, otrzymanem po rządach obcych, przystąpił Rząd polski do dzieła organizacji żeńskiego szkolnictwa zawodowego.

Dziś zaś mamy: 350 żeńskich szkół zawodowych i 24 tysiące kształcącej się w nich młodzieży.

Jest to postęp kolosalny, i tym, co tylko narzekać i oburzać się na całą naszą terażniejszość umiej, cyfry te stawiamy przed oczy, jako jeden z wielu znakomitych dorobków tych kilku lat niepodległego żywota narodu. Oczywiście, nie jest to liczba dostateczna. To początek dopiero. Ale początek poważny i zapowiedź dobra!

Nietylko w Polsce, przed wojną, sprawa ta leżała odłogiem. Zupełnie tak samo było we Francji, choć Francja nie znajdowała się pod obcym jarzmem. Na kilka lat przed wielką wojną deputowany francuski Astier, twórca ustawy o szkołach zawodowych, zwracał uwagę rządu francuskiego na fakt, że w wielkich zakładach konfekcyjnych Paryża stanowiska kierowniczek zajmują Belgijki i Szwajcarki, i domagał się rozpoczęcia pracy nad organizacją żeńskiego szkolnictwa zawodowego.

Dopiero jednak ekonomiczny przewrót powojenny (małe zarobki ojców rodzin, konieczność pracy zarobkowej kobiet i t. d.) skłoniły rząd francuski do zajęcia się poważnie tą sprawą. W ciągu kilku lat posunięto tam organizację żeńskiego szkolnictwa zawod. bardzo daleko.

Te same, mniej więcej, motywy wpłynęły i u nas na wysunięcie kwestji żeńskiego szkolnictwa zaw. na porządek dzienny. Z początku społeczeństwo nasze nie miało do szkół tych zaufania. Pod wyrazem „szkoła” rozumiano u nas tylko szkołę średnią i tylko ukończenie t. zw. „gimnazji” rokowało, w pojęciu ogółu rodziców z warstw pół i ćwierć inteligencji, przyszłość, godną zabiegów.

Charakterystycznym pod tym względem był rodzaj materiału, zgłaszającego się do szkół zawodowych. Uważali rodzice, że do szkoły takiej nadaje się tylko dziewczyna szczególnie niezdolna, upośledzona, kaleka, zdegenerowana i t. p.

Stwierdzić trzeba, że uprzedzenia te już od lat paru należą do przeszłości. Szkoła zawodowa żeńska zwycięsko utorowała sobie drogę w opinji. Dziś przyjmuje ona wyłącznie dziewczęta zdrowe i pod każdym względem odpowiadające stawianym im wymaganiom. Dziś natłok do żeńskich szkół zaw. jest tak wielki, że gdyby ich było 10 razy więcej, niż jest, nie byłoby ich za wiele. W tym roku, np. w Sosnowcu zgłosiło się na pierwszy kurs szk. zaw. żeńsk. 400 kandydatek, a szkoła zaofiarować mogła 40 miejsc.

Nie ulega wątpliwości, iż do szkoły tej pociąga obecnie najsilniej fakt, że na ostatnim jej kursie dziewczyna już zarabia i zarabia nieźle.

To dziś dla każdego najwymowniejszym jest argumentem.

Pod względem organizacyjnym, szkoły te dzielą się na państwowe, samorządowe i społeczne. Ostatnie dwie kategorie otrzymują subsydia państwowe w tak znacznej wysokości, że prawie całkowicie pokrywa się nimi koszt utrzymania szkoły.

Szkół prywatnych tego typu niema. I to jest zrozumiałe. Nie przedstawiają one dla prywatnego przedsiębiorcy żadnego interesu.

Pod względem wewnętrznej swojej treści przedstawiają one kilka odrębnych typów. Istnieje więc średnia szkoła zawodowa, do której przyjmuje się

uczenice z cenzusem 7 kl. szkoły powszechnej, lub 4-ch klas szkoły średniej. Kurs 3 letni.

Zadaniem jej jest wykształcenie samodzielnych kierowniczek przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych.

Przedmiotów ogólno-kształcących w szkole tej nie prowadzi się podług programu gimnazjalnego. Ma ona specjalne swoje zadania. Chodzi o podniesienie uczenicy na wyższy poziom ogólnego rozwoju umysłowego, o danie jej możliwości orjentowania się w ogólnem położeniu gospodarczem kraju i chwilowych koniunkturach przemysłowych i handlowych.

Pod względem wychowawczym szkoła zmierza do wyrobienia jednostek samodzielnych, twórczych, pełnych inicjatywy i rzutkości.

Chodzi o stworzenie nowego typu rzemieślniczkich polskiej, zdolnej nietylko do naśladownictwa cudzych wzorów, ale do wydobywania z siebie własnych oryginalnych wartości, do wskrzeszenia dawnych, pięknych tradycji rzemiosła polskiego.

Niestety, nie tak łatwo jest przewyciężyć bezwład inicjatywy, bierność, do której wiekami całemi przyuczono kobiety. Wychowanki naszych szkół zawodowych dotychczas najchętniej biorą posady instruktorek w innych szkołach, czy instytucjach. Mała, ale pewna, pensja miesięczna zadawalnia w dostatecznej mierze ich ambicje i wymagania. Do tworzenia nowych placówek pracy za mało mają jeszcze odwagi, za mało zaufania we własne siły. Wierzyć trzeba, że ten typ zjawi się zczasem.

Pozatem istnieją żeńskie szkoły zawodowe niższego typu, których zadaniem jest przygotowanie robotnic dla warsztatów i pracowni. Przyjmuje się tu dziewczęta z cenzusem minimalnym 5 klas szkoły powszechnej. Przedmioty ogólno-kształcące prowadzi się tu zgodnie z programem wyższych klas szkoły powszechnej. Kurs 3-letni.

Bardzo interesującym typem są szkoły dokształcające dla kobiet, zajętych już w warsztatach i pracowniach. Ośrodkiem pracy, dokoła którego grupuje się cały ten skromny systemat wiedzy, jaki uczenica zdobyć musi w ciągu 3-ch lat 2 godzinnej szkoły wieczornej — jest jej zawód.

We wszystkich tych szkołach poważne miejsce, obok przedmiotów fachowych i ogólno-kształcących zajmuje nauka gospodarstwa domowego, przysposabiająca uczenicę do obowiązków gospodyni domu i matki.

Tym sposobem wchodzi ona w życie, uzbrojona na wszelką ewentualność, na wszelkie zmiany i kierunki losowych wydarzeń.

Pozatem, przy szkołach średnich i niższych organizuje się, t. zw. „kursy”, trwające, zależnie od fachu, od 3 miesięcy do 3 lat. Na kursy te przyjmuje się kobiety bez różnicy wieku i przygotowania umysłowego.

Najwyższym typem szkoły żeńskiej zawodowej jest seminarjum nauczycielskie. Kurs 3-letni. Od kandydatek wymagane jest ukończenie średniej szkoły zawodowej. Dla osób, które temu warunkowi nie odpowiadają, przedłuża się naukę o 1 rok, dodając kurs przygotowawczy.

Zadaniem seminarjów jest dostarczenie materiału nauczycielskiego dla szkół i kursów zawodowych.

Mamy 2 seminarja nauczycielek rzemiosł i 3 seminarja nauczycielek gospodarstwa domowego.

Tak przedstawia się w ogólnych zarysach obecne stadium rozwoju żeńskiego szkolnictwa zawodowego.

C. r.



C. WALEWSKA

10

ZRÓŻNICZKOWANIE SIĘ TYPU KOBIECEGO PO WOJNIE

LEGJONISTKI

Z cyklu: „O kobiecie dzisiejszej — głosy kobiet

W sierpniu 1920 r. ciągnął przez ulice Warszawy od Agricoli do Placu Zamkowego dziejowy pochód. Marsz rytmiczny, jakby żołnierzy, ale nie to. Nie twardy, szorstki, brutalny gruchot po kamieniach, przed którym człowiek, czy pies ustąpić musi, żeby go nie zmiażdżył.

I tam siła, ale — jakby echowa, jakby odprysk tej dobrze znanej, której przed dwunastu laty jeszcze wolało nie widzieć oko, nie słyszeć ucho. Dziś — drogiej sercu polskiemu.

Przeciągały w sierpniu 1920 r. ulicami i przedmieściami Warszawy pułki żołnierzy — piechota, kawalerja, artylerja. W grozie i rozmodleniu patrzono na nie. Ale — jakby szloch, jakby spazm chwycił za gardło, gdy od Agricoli ku Placowi Zamkowemu — o zmierzchu, w półmrokach przedwieczera — szedł oddział ni to roślących gwardzystów, ni dzieci. Szedł i śpiewał — po żołniersku, lecz bez rubasznych pogwizdów i zawadjackich pokrzyków. Biły w omglone powietrze dźwięczne, czyste głosy, nie chłopięce i nie męskie. Rozpylały się melodja, zwierzały klamrą akordów. A w takt ich pohukiwał marsz, niby groch, sypany setką garści miarowo na szary, twardy bruk.

To szły legjonistki — pierwsza w dziejach Polski zjawia zbiorowego czynu wojennego kobiet.

Szły legjonistki. Stawała ulica. Wypatrywali niewierzące oczy starzy i młodzi. Legjonistki, sformowane w prawidłowe kadry. Oficerowie z krzyżami na piersiach.

Przedarł się duch kobiecy przez twarde zakazy. Skupił w sobie wszystką wolę i wszedł między walczące.

* * *

We wszystkich trzech powstaniach brały udział kobiety. Zwłaszcza — w styczniowym. Dostęp do archiwów i umożliwienie badań przynosi coraz nowe nazwiska bojownic, które pod męskim nazwiskiem i w męskim przebraniu służyły w armji powstańczej.

Lista nieskończona i rośnie z roku na rok. Ale to jeszcze nie potężna zjawia lat ostatnich.

Wielka wojna 1914 — 1921 r. poruszyła kobiety wszystkich państw, zaplątanych w dzikie boje. Wszędzie tworzyły się zastępy działaczek na froncie i na tyłach armji. Wszędzie chwyciły za broń jednostki. W takiej licznej, żywiołowej zbiorowości, jak u nas, nie wystąpiła kobieta nigdzie. Stworzyła chłopka rosyjska, Marja Boczkarewa (Jaszka) w 1917 r. t. zw. „bataljon śmierci kobiecej“, który miał na celu pobudzenie zapału zbolszewizowanych żołnierzy, bratających się w okopach z nieprzyjacielem. Przyszedł bataljon za późno. Trwał krótko. Nic nie zrobił. Zostały po nim, jednak, artykuły, ilustracje, hymny, apoteozy w obcych i rosyjskich prawicowych pismach. Został pamiątnik analfabetki Jaszki, dyktowany — po ucieczce jej do Ameryki — jakiemuś żydowi z Rosji. Został może sztandar, przechowany gdzieś w jakich podziemiach. Został wielki rumor w całym świecie.

Bez rozgłosu, bez rumoru zaciągnęły się nasze bojownice w kadry wojskowe. Już od 1914 r. poczynszy — w męskim przebraniu — biły się i działały pojedynczo na najtwardszych odcinkach. Kurjerki w ogniu bojowym przekradały się przez linje nieprzyjacielskie, niosąc rozkazy, robiąc wywiady, przeprowadzając partje ochotniczej młodzieży do wojska polskiego. Pod grozą pękających szrapneli, w słoty je-

sienne, w ciemne, mroźne noce, źle odziane, przemaznięte do szpiku, ociekające ulewą, z karabinem w zgrabiących palcach, strzegły na dalekich pustkowiach skarbów państwowych wartowniczeki. Zorganizowaniem kobiet w odrębną jednostkę bojową zajęła się p. Aleksandra Zagórska, późniejszy pułkownik, w pierwszych dniach zagrożonego Lwowa, którego już, jako oddział Milicji Obywatelskiej, broniły kobiety dzielnie.

W 1919 r. otrzymała formacja kobieca nazwę „Ochotniczej Legji Kobiet” i tak przetrwała do końca wojny.

Wypelzły z pod ziemi były działaczki oświatowe. Jak niegdyś tajemnym słowem, tak teraz szaleńcem patriotycznym porwały za sobą zastępy wiernych. Uciekały z pod skrzydeł matczynych podrastające dziewczątka, aby ginąć od kul nieprzyjacielskich. Cudów bohaterstwa dokonywały i te nieletnie, i starsze kobiety, dobre gospodynie — matki, które razem z córkami rzucały dobrobyt, spokój, wygodę, żeby tchem własnym, żeby ofiarą wyzwalać Ojczyznę. Mało wiemy o nich. Wyszła dotąd tylko jedna niewielka książeczka: „Szkic historyczny”, wydana we Lwowie w 1921 r., — zbiór dokumentów: rozkazów dziennych, raportów, dotyczących O. L. K. Padło kilkadziesiąt nazwisk. Niechżeż choć część ich zostanie w pamięci:

Strzegła na dworcu lwowskim wozu z żywnością 15-letnia Halinka Grabska, gdy, jak huragan, sfrunęli nad miasto Ukraińcy, sypiąc z samolotów granaty i szrapnele. Kto żyw, uciekał. Dziewczynka trwała na stanowisku, bo taki był rozkaz. Aż kule rozszarpały w kawałki ją, wóz i konie. Znalezione przy niej kartkę do przyjaciółki: „Czy wyobrażasz sobie, jakim szczęśliwa? — Jestem nareszcie z tymi, którzy bronią Ojczyzny”. Dwudziestoletnia Katarzyna Chorzępianka, słuchaczka matematyki w Krakowie, celowniczy karabinu maszynowego, dwukrotnie ranna w boju z bolszewikami, żołnierz niestrudzony, nieustraszony, zmarła w szpitalu w Warszawie. Zginęły na polu chwały: Wanda Hermanówna, odznaczona krzyżem *Virtuti Militari*, Anna Zarodźka, ugodzona kulą bolszewicką pod Mińskiem w 1919 r. Teresa Grodzińska, która, unosząc pod naporem wroga ciężko rannych żołnierzy — zostaje wzięta do niewoli, wymyka się z niej na koniu kozackim, ale, ścigana, pada od kul pod Stepankowiczami w 1920 r. Na placówce Bema poległa w 1918 r. dzielna ochotniczka Józef Balcer, której prawdziwego nazwiska nikt nie wiedział, a którą podstawia się niekiedy, jako Józefę Balcerównę, niezwykle odważną legionistkę, która podczas wybuchu amunicji na Dworcu Głównym we Lwowie wynosi beczki płonące, uległszy poparzeniom i okaleczeniom. Ginęły na froncie kurjerki, których zwłok nierozpoznawano. Inne, jak rycerze z bajek, nie pozwoliły zmóc się żadnym przeszkodom. Wanda Lachowiczówna, wysłana na wywiady, dostaje się do niewoli ukraińskiej. Więziona, a nawet

na śmierć skazana, ucieka i w marcu przez śniegi Karpat pieszo przedziera się, wiernie wypełniwszy rozkaz.

Pisma służbowe i świadectwa, wydawane legionistkom w różnych czasach i różnych okolicznościach, stwierdzają dowody niezwykłej przytomności umysłu ich, żelaznego poczucia obowiązku, pogardy niebezpieczeństwa, wielkiej powagi i głębi patriotyzmu. Z wyjątkiem uznaniem władz spotkały się: Kamilla Janotówna, Marja Szymańska, Bronisława Fafara, która odpędziła nocą trzech ukraińców, usiłujących wywołać wybuch magazynu z amunicją; ranna ciężko, została inwalidką nazawsze. Zofja Kremerówna, Wanda Goertzówna, komendantka bataljonu wileńskiego, który wykazał w ostatnim ataku na Wilno niepospolite męstwo. Olga Stawecka, walcząca od pierwszego roku wojny w przebraniu męskim, aż po dnie ostatnie, odznaczona, jako legionistka.

Za szczupłą garstką nazwisk powyższych kryje się wiele innych dzielnych kurjerek, łącznikowych, wartowniczek, co do których utarło się przekonanie, że tam, gdzie pełnią straż szeregowcy z O. L. K., nie zginie ani jedna szczypta soli, ani jeden guzik od munduru. Jak uczciło je społeczeństwo?

Ktoś tam napisał broszurę, sprzedawaną w swoim czasie na rzecz Koła Pomocy przy O. L. K. o Zofji Prokopowiczównie, plutonowej, trzykrotnie odznaczonej za odwagę i męstwo, zmarłej z ran w bitwach pod Płockiem 1920 r. W jakimś kalendarzu z 1921 r. zamieszczono portrécik sanitariuszki Szybowskiej, która z ks. Skorupko, harcerzem Płoszko, kapitanem Makarewiczem i innymi poszła w bój pierwsza, żeby zagrzać żołnierzy, i padła pod Radzyminem na polach Ossowskich.

Tyle wiemy o naszych bohaterkach, których był legion.

Rozsławili rosjanie swoją „Jaszkę”, której pamiętnik przetłumaczono na kilka obcych języków. Oddali cześć anglicy sanitariuszce miss Cavell, oskarżonej przez Niemców na froncie belgijskim, że ułatwia wywiadowcom angielskim i francuskim przechodzenie przez linie nieprzyjacielskie, skazanej na śmierć i położonej trupem przez jakiegoś junkra pruskiego, gdy żołnierze odmówili salwy. Postawiono jej pomnik, odsłonięty uroczystie wobec przedstawicielstwa rządu, wojska i tłumów narodu. Pomnikiem również uczciła swoją amazonkę Rumunja. Stał w mieście Slat nad Oltem ten widomy dowód czci dla młodej kobiety, która, porwawszy z rąk zabitego przez Niemców brata karabin, poszła w bój. Wzięta do niewoli, „wyzwala się z niej, zastrzelawszy dowódcę niemieckiego oddziału, łączy się ze swoimi i pędzi, aż do Mołdawji, uciekającą armją niemiecką, żeby paść wkrótce potem w bitwie pod Marashesti, gdzie dowodziła kompanją piechoty. Królowa, cała jeneralicja i tłumy ludu oddały jej hołd.

Rozgłosił w książce „La guerre des femmes” czyn i ofiarę dwóch najdzielniejszych wywiadowczyń francuskich Antoni Rediez. Podniosła dzieło to w prasie swojej i obcej Lucie Delarue-Mardrus. Wie—o Leonji Vanhoutte i zmarłej na placu boju Ludwice de Bettignies — Europa. My tylko milczymy.

Nie o rozgłos i sławę chodziło kobietom naszym. Były, jak ten wicher stepowy, który runął w otwartą paszczę bojów, nie wiedząc czy przepadnie, czy uniesie się nad rumowiskiem zwycięsko? I w tym żywiołowym pędzie duszy kobiecej tkwiło jądro nieporozumienia między nią, a społeczeństwem. Ślepe oczy nie widziały zorzy rozpalonych ołtarzy, którym dotąd wolno było tlić pokątnem zarzewiem ledwie. Ślepe czucie nie chwyciło astrali zjawy, która w swem nagłym wcieleniu wydała się czemś do dziwactwa niesamowitem. Ruszano ramionami. „Świat na opak”. Nie dancing — wojna. Krew, życie na kartę. Dotąd — szarpie dla rannych żołnierzy, albo buduarowa polityka ślepych drzwi. Mundur na plecach, broń na ramieniu kobiety...

Obcy przyjeżdżali, żeby na własne oczy zobaczyć polską legionistkę. Swoi odmawiali jej sankcji. Pojedynczo... No tak, względnie, może jeszcze... jak Emilja Plater... jak Pustowojtówna... Gromadnie... odrębna jednostka bojowa... Więc... mężczyźni mają skubać szarpie?

Być może, anglik, francuz, rumun nie byłby uczcił swoich „dziewic orleańskich”, gdyby związały się w legion. Być może, w bohaterskiej zbiorowości zaprzepadłaby bohaterska jednostka i nie postawiono by jej pomnika.

Błyszczą w swojej krepdeszynie po dancingach smukła chłopczyca. Wykreca piruety stopami w charlestonie, szoruje podłogę obcasem z podeszwą w black bottomie, zmienia co drugi bal (o dobry losie szewców!) porwane na strzępy pantofelki. I wszystko w porządku. Tak samo wierci nosem buta, wyrzuca piętą, suwa na metr podeszwą jej towarzysz z twarzą „à la vierge” upudrowaną, białą-różową, gładką.

Legła gdzieś we wspólnym dole z nieznanym żołnierzem nieznana bohaterka. Zgarnięto ich na polu bitwy. Tańczyli w oparach krwi, w łunach pożaru. To i tamto — taniec nowy. Partnerzy muszą nauczyć się iść razem, żeby nie chybić rytmu.

Chłopczyco z dancingu, przyzwyczajono się już do twojej ostrzyżonej główki, do twoich kształtów chłopięcych. Czasami jakiś dwuznacznik, satyra... Ale oko i czucie wchłonęło nową zjawę.

Żołnierko polska, po skończonych bojach wróciłaś do biura, szkoły, na rolę, chwyciłaś za pióro. Pracujesz, jak pracowałaś. Trochę zmian tylko. Pewien dzielny, błękitnooki porucznik, odznaczony krzyżami zasług, wstąpił do klasztoru, bo świat, po tamtych przeżyciach, już nie dla niej.¹⁾ Inne — dziś policjantki, albo instruktorki w organizacjach przysposobienia wojskowego, albo wybitne działaczki oświatowo-społeczne... Wybaczone wam, ale nie wiem, czy zapomniano, szła chwila. Każda z was pewnie ma krótkie włosy i spódniczkę o kilka centymetrów za kolana, niejedna tańczy, flirtuje. Ale... niech padnie rozkaz... Duch wasz, jak przyczajony ogarek, rozetli się, rozplonie, rozbłyśnie... Już nie umiałybyście, jak starszki ciotki, skubać szarpie cichutko. Już pokątnie, jak babki, prababki, nie umiałybyście prowadzić polityki ślepych drzwi. Już w pełni uświadomienia stajeście wobec zadań swoich. Już ponosicie pełną odpowiedzialność. Już wiecie, że nowy człowiek powinien wyzyskać wszelkie siły swoje, nie zmarnować rzutów, które ma w sobie, iść za głosem, który mówi w nim, ślepo słuchać nakazów sumienia i obowiązku.

Wojny nikt nie chce. Wszyscy — Polska cała — pragną pokoju. Ale — gdy przyjdzie harda zaczepka — kto usiedzi na miejscu? Cienie Szybowskich, Prokopowiczówien, Chorzębianek! wasz duch nie da już spocząć jutrzejszej kobiecie. Sanitarjuszka, kurjerka, łącznikowa, wywiadowczyni stanie w zorganizowanych kadrach. A w której zagra krew Platerówny — pójdzie bić się.

Bo już nie można inaczej.

¹⁾ Olga Stawecka — obecnie Siostra Eligja Serafitka w Chodzieży. (Wielkopolska).

HELENA CEYSINGERÓWNA

11

JAK SŁOŃCE SPIJA ROSE

(Opowieść)

— Karczmarz ich podmówił. Najpierw im sfaktorował chore krowy, a potem wytłumaczył, że to czarownica mleko im odebrała.

No, czarownica była jedna...

Lotka słuchała z zaciekawieniem.

— Czy wy tutejsi? — spytała po chwili.

— Tak, panienko, my ze szlachty, z zaścianka. Mamy papiery...

— A ta chata w lesie?

— To matce podarował ją nieboszczyk dziedzic z Pratulina...

Panna Grudzińska nie chciała dopytywać dalej.

Słyszała, że pochodzenie Kseni osłania jakaś romantyczna tajemnica.

Pokazała jej projekt memorjału. Radziły jeszcze czas jakiś nad jego treścią, poczem nasunęła się kwestja zbierania podpisów.

— Niech panienka go mnie da. Do mnie dużo ludzi przychodzi po zażegnanie, po rady, po lekarstwa; to nie zwróci uwagi strażników; rozesłemy gońców po wszystkich powiatach unickich, podamy wiadomości do Białej, do Włodawy, do Sokołowa... chata na uboczu, lasy... do znachorki każdemu przyjść wolno...

— Masz słuszość. Tak będzie najlepiej, a ja zbiorę podpisy od katolickich księży i ze dworów, jeżeli się podpisać kto zechce, bo nie wiem...

Od tej chwili zaczęła się gorączkowa tajna akcja. Memorjał przeredagowano jeszcze, przy pomocy pewnego prawnika z powiatowego miasta. Jednocześnie rozesłano tajne wici. Wieść szła z ust do ust. Pukano nocą do chat unickich, puszczami nurkowali posłańcy; drożyny leśne do chaty Kseni zaludniły się gęściej, niż kiedykolwiek, szukającymi porady; widziało tam kaleki, ślepców, schorzałe niewiasty...

Nocami, po lasach i starych, opuszczonych cmentarzach zbierano się na narady... Do dworu w Łęgach zachodzili też raz poraz obcy ludzie, diady, żebracy, handlarze wędrowni, cyganki. Dziedziczka przyjmowała wszystkich bez świadków. Po krótkiej rozmowie ludzi ci znikali i nie pokazywali się już po raz wtóry,

Panna Grudzińska wyjeżdżała też często w okolice. Bywała w Siedlcach, w Warszawie, wybierała się pono do Petersburga. Puszczono w ruch i majora...

A tymczasem misjonarze prawosławia czynili w dalszym ciągu straszliwe swoje dzieło.

Każdy z przybywających do Łęgów przynosił z sobą wieści, pełne grozy. Jedni opowiadali o Pratulinie, inni o Drelowie, gdzie do bezbronnych strzelające wojsko 13-stu położyło trupem. Major, zapędziwszy się w Sokołowskie, trafił na męczeństwo parafji Seroczyn i Łazów i wrócił z duszą tak ponurą, że przez kilka dni nie rozmawiał z nikim i nie przyjmował pożywienia. Inni, nieznani, opowiadali, jak dawano po kilkaset różeg kobietom, jak kazano właścicielom pastwić się nad własnem bydłem, wybijać wołom rogi siekierą, krowom łamać nogi, jak zaprzęgano ludzi do pługów, niszczone wsie całe kontrybucjami i postojami wojsk...

Podlasie całe zamieniło się w jakieś katakumby pierwszych chrześcijan, krainę męczeństwa i tajemnicy.

Przy końcu marca, młody Poradowski wyjechał zagranicę. Przed wyjazdem zwierzył się przyjaciółom, że chce nareszcie zacząć żyć „jak człowiek“. Uznano

to postanowienie za zupełnie słuszne i naturalne. Chłopiec powinien był wyrwać się nareszcie z pod matczynej spódnicy. Starzy bywalcy szeptali mu na ucho wytrawne rady, dawali adresy... Byli i tacy, co przypuszczali, że Artur, w Łęgach otrzymawszy kosa, śpieszy zahulać pierwsze niepowodzenie życiowe.

Zagranicą bawił się widać dobrze, bo bawił długo... a listy pisywał rzadko i najczęściej ze stemplem paryskim.

Z wiosną uciszyło się nieco na Podlasiu.

Czy upały obezwładniły wolę działaczy rosyjskich, czy miano wzgląd na pracę rolnika?...

W jesieni, natomiast, rozlała się szeroko nowa fala prześladowań.

VIII

Oczami szaremi, jak stał, prosto patrząc w jego oczy, stało przed nim to dziewczątko. Wiśniowe usteczka drżały lekko.

— Jak ci na imię?

— Hanusia.

— Umiesz pisać?

— Umiem.

— Podpisz się!

— Nie, panie!

Gołowinskij popatrzył na nią. Miała lat 15, ale wyglądała na 12, zabiedzona, wątła, od dźwigania ciężkich chłopskich dzieci już lekko na prawy bok przechylona. Zaczął mówić do niej, jak do dziecka.

— No, podpisz się! Jakże ja będę wiedział, że ty umiesz pisać?...

Dziewczyna oczami jasnymi, jak tafle zamrażniętych jezior, patrzyła mu nieustraszenie w twarz i milczała.

— No cóż ty taka głupia?! Ani gadasz, ani ja wiem, co ty umiesz, a jakbym się przekonał, że umiesz pisać, wziąłbym cię na służbę, do miasta... do bogatej pani i bardzo dobrej... miałabyś ładne sukienki, codzień jadłabyś cukierki...

Dziewczynka uśmiechnęła się jakoś górnio.

— Pan Jezus też był kuszony — rzekła miłym, dziecięcym głosem. Gołowinskij poczerwieniał. Dziecko się poznało...

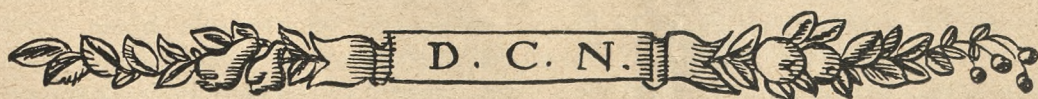
— Takas to mądra?! Któż cię to tak nauczył?... Hanusia milczała, kręcąc w palcach róg fartuszka.

— Za mądra jesteś! jak wezmiesz w skórę, oduczysz się starszym odpowiadać.

Dziewczynina podniosła nań jasny wzrok.

— Dawniej tylko niewierni — rzekła twardym głosem — prześladowali chrześcijan, a teraz... Nie skończyła...

Gołowinskij uderzeniem w piersi pchnął ją ku stojącym wokół kozakom.



M. CRNJANSKI

4

ŚWIĘTA PROWINCJA

w tłumaczeniu M. Znatowicz-Szczepańskiej

O tak: milczy i patrzy, a ty ciągle czekasz, że powie choć słowo. Odejdzie może nareszcie, ale tymczasem całe miasto się wzburzy, bo wszyscy są za nią, wszyscy przeciw mnie! Krzyczę—źle, idę ulicą—źle... milczę — źle.

Spojrzała na niego i zcicha wyrzekła: „Wszystycieście jednacy“, i machnęła ręką. Słysząc było przez ścianę, jak ktoś śpiewał kuplety. Gdzieś tam trzaskano drzwiami. Helena zapaliła znów papierosa i wyciągnęła rękę do Panty. Koło jej ust rozkwitł znowu uśmiech zadowolenia.

— Posłuchaj... to się stało pewnego wieczoru, kiedyś mi towarzyszył po przedstawieniu... widziałam, żeś bezdzietny... a dokuczyły mi już klótnie i pijaństwa i te popasy... poprostu mi dokuczyły. Dobrzy są ludzie... we Wrszcu o mało nie rozerwali mnie studentci... wyprzęgali konie... Ale widzisz: ciułam przecie, a bielizny nigdy nie mam dosyć... to mi już obrzydło. Straszniem łakoma na bieliznę... piękną... czystą... i żeby jej było dużo. Jakoś to dotąd szło, ale teraz, w Sentomaszu... co się przebudzę... to „daj rakji“, a potem do północy, do zorzy tańcz! A jeszcze ci warjaci... Gram z partnerem Julję—gryzie mnie w kark... Siadę koło popa — popadja o mało mi oczu nie wydrapie. W nocy dyrektor stuka do moich drzwi... Nawet się już nie szminkuję: patrz na moją twarz... wszystkim starła. To znów niedawno dźgnął jeden nożem nauczyciela przezemnie... Cały ranek leżał koło mnie — pokój we krwi, Bóg wie co! Spodobałeś mi się, żeś taki porywczy... bez dzieci... Dla mnie tyś dobry... Co jej po tobie? Miała cię pierwsza, była damą, niech i ja teraz pobędę panią burmistrzową...

Zaśmiała się wesoło... Nogi jej wysunęły się z pod pierzyny, aż na jego kolana, ale zaraz je ściągnęła, spuściła głowę i... zapłakała.

— W tym roku nie mogłam nawet być na jego grobie... A i co to za grób... Odnaleźć go niepodobna... kto tam o niego dbał — Zaczęła przerzucać chusteczki i pudełka, leżące na stołku obok łóżka, i wyciągnęła jakąś nędzną, małą fotografię.

— ...nie był on brzydki... tylko, cóż chcesz? aktor... tłukł się po Serbji... Kiedy mnie wziął—nie chciał się nawet myć, jak należy... ja go nauczyłam czyścić zębami... Lubił dzieci... ale jakże chcesz? Zwykle nie miałam pieluszek... owinie się dziecko w serwetę... to dziecko przeziębnie... on się upije... ale nie był to zły człowiek! Kiedyś zostaliśmy zaproszeni gdzieś za Belgrad... Zdaje się do domu bogatego Anglika... Wieczorem on grał Hamleta... nie, nieprawda—grał Kea-

na... Jakbym teraz na niego patrzyła! Mały salon, pełniutki ludzi... lampy pogaszono... Wtedy on wyszedł na scenę... Myślałam, że powarjują!... Dostał pięć dukatów. O świetle zjawił się u mnie... a był to zaledwie trzeci tydzień... jeszcze się pokładałam, miałam nawet gorączkę. Przyniósł pieniądze i daje mi. Powiada: odkąd cię wzięłam, nie zrobiłaś sobie jeszcze sukni, masz na to! — Zamilkła, a po chwili obróciła się gwałtownie. — Nie myśl, że chcę udawać panią, ale widzisz, wszystko to już mi zbrzydło. Pojutrze znów na wóz... błoto, ziab... Dałam palto Marji: ona kaszle, jej jeszcze gorzej... Co wieczór rakija i cukierki na kolację... A tyś samotny, bezdzietny... cóż mi szkodzi, żeś gwałtownik, już ja cię uspokoję... Popatrz na te łóżka... brzydzę się... a już i postarzałam.

Obejmował ją, ale się usuwała. — Czego się śmiesz... nie wyobrażaj sobie, że jesteś piękny, ale dla mnie właśnie w sam raz... — Nie całowała go, tylko tuliła do siebie. Miała krótki wzrok, więc oczy jej przysłaniała zawsze jakby ciemna mgiełka, załzawiona i mętna; usta jej, nieświeże już, spękane i blade, były tak ciepłe, tak pieśczośliwe, tak miękkie i bezsilne... Mówiła bardzo szybko, a ciągle wyciągała ręce i przyciskała go do siebie. Chwycił ją wreszcie i zaczął całować po oczach. Pozwoliła, papieros wypadł jej z ust, koszula zsunęła się z ramion, palce zadrgały. Westchnęła ciężko, obróciła się, poddała mu się całą. Usta jej rozjaśnił zmęczony, senny, ale szczęśliwy uśmiech. Zamknęła oczy i cicho, ostatnim tchem, że ledwo dosłyszał, zamruczała w jego rozburzoną czuprynę:

— Wszystycieście jednacy...

* * *

Tego wieczoru pan Pantaleon Popicz strasznie hulał. Znalazł w pewnej knajpie studentów i obwieścił im, dość już pijany, że w magistracie znajduje się komisarz węgierski, który jego, jego, Pantaleona Popicza, burmistrza, „cesarskiego urzędnika“, chciał wyrzucić za drzwi. Cisnął szklanką i kapeluszem na środek sali, a tamburzyście nalepił na czoło banknot dziesięcio-koronowy. Zrobiło to piorunujące wrażenie, wybuchła straszna wrzawa. Jedni pobiegli pod magistrat, z zamiarem powybijania szyb komisarzowi, inni obiecywali, że go podpala, a większość rozeszła się, by tej jeszcze nocy zwołać wiec, dla powzięcia rezolucji. „Trąba...“ mruknął Popicz.

Młodzieńcy, cali w czerni, z długimi włosami, spadającymi im na czoła blade i pobrużdzone, rzucał się i krzyczeli wokół niego. Jeden z nich wyrwał się naprzód, wyciągnął jakieś papiery i zaczął czytać

artykuły i telegramy. Ale w głowie pana Panty wybuchały, strzelały i kręciły się mętne wiadomości o Lublanie, Pradze i Genewie. Że w Lublanie postanowiono zmienić artykuły kongresu berlińskiego i wzywa się wszystkich studentów do współdziałania... Pisma donosiły o aresztowaniach w Kragujewcu i wymieniały parę imion, których brzmienie doprowadzało studentów do rozpaczliwej złości i krzyku. Któryś wołał, że jutro jedzie zabić księcia. Ale najwięcej krzyczeli, słuchając wiadomości z Genewy. Jeden z nich stał na stole i czytał, a reszta słuchała. Chorobliwie rozszerzone źrenice czytającego błyskały, czarne, straszne pod wpływem bólu, graniczącego z szałem. Słuchacze mieli na twarzach gorzki półuśmiech... Artykuł drwił spokojnie ze wszystkiego, co było dla nich piękne, święte, niezgłębione i utracone, a unosił się i rozmiętniał nad socjalizmem, nową pedagogiką, czystością i upadkiem, Rosją i młodzieżą. Słuchali, blednąc i ledwo oddychając; orkiestra milczała. Potem pewien niepozorny młodzieniec krzyczał, podając przez stół jakieś książki i wymyślał głosem, drżącym od gniewu.

Inni zaś obejmowali się w ciemności i wołali: „Precz ze „Strażą“... Wasyl Pelagicz jest łajdak!“ W całej tej wrzawie pewien tylko kleryk siedział samotnie i milcząc w ciemnym kącie. Dwa dni już nie miał co jeść i nosił w piersiach jakiś ciężki, tępy ból. Zamknawszy zmęczone oczy, miał wrażenie, że czuje zapach białych rąk matczynych, wiejskiego chleba, najmielszego ze wszystkich, i bzu, co rośnie pod oknem. Przygotowywał się, by w święto Sawy pojechać do Moskwy i mieć tam wykład o Serbskiej Akademji Nauk. Był synem popa. Całemi dniami gadał o Wojewodzinie.¹⁾

Z bezprzykładną energją nauczył się wciąż trzech miesięcy po węgiersku i tłukł się po wsiach kresowych, zwołując wszędzie wiece i zgromadzenia. Redagował gazety, a jadał co drugi dzień suchy chleb i zimną fasolę. Na jego twarzy jaśniał bolesny, święty uśmiech...

¹⁾ Wojewodzina — prastara dzielnica Serbska pod zaborem węgierskim.



KAROLINA BIELAŃSKA

2

HETMAN ZŁOTOBRODY I WŁADCZYNI LIBANU

III. AWANTURY ARABSKIE

„Szlachetna Estero, pokój z Tobą!

„Emir Tage-el-Faher Abd-el-Nizam, najdumniejszy i najwolniejszy z Beduinów pustyni Nezd, przebiega brzegi morza... oddalony od ukojanej ojczyzny i wszystkiego, co umiłował w życiu. Zbliżyło go to do miejsc, zamieszkiwanych przez Ciebie. Gdyby pochwały, dawane Tobie, obły się o jego uszy w pałacu magnatów... przeszedłby, nie spojrzawszy. Lecz kiedy dzieci natury wzruszone są twemi cnotami, porwane wielkością, dobrodziejstwami przykute, to już mi wystarcza, abym Cię pragnął poznać... Długo ociągałem się, dlatego jedynie, iżem chciał, aby imię moje przedarło się do Ciebie, a czyny wojenne zaleciły. Tak się stało. Hołd mój, Estero, nie może Ci być obojętny. Żegnam Cię i oczekuję odpowiedzi, która mię znajdzie z moimi Beduinami przy fontannie w Said.“

Na list ten, adresowany do: „Estery Malek¹⁾ na szczycie Santonu, obok Nabathen — w kraju niezwy-

cięzonych Metualów,“ nadeszła odpowiedź, w podobnym utrzymana stylu:

„Szlachetny Emirze! Sława imienia Twego doszła aż do mnie. Ester podziwia Twe cnoty i Twą sławę. A miłosierdzie, okazane starcowi z Erzerumu, w Mezzeb, wzruszyło ją, mimo, iż byłeś jej nieznajomy. Ester pragnie ofiarować Ci u siebie gościnę. Namiot ustawiony czeka już na Ciebie. Hannak, z Mamelukami mymi, wręczy Ci ten list i ma zlecenie zaprowadzić Cię na szczyt Santonu w skałach Nebethyi. Bywaj mi zdrowy.“

Otrzymałszy to pismo, Emir dosiadł swej ulubionej Mustaszary i puścił się w drogę...

Tak się zaczyna opis jednego z epizodów legendarnej podróży na Wschód polskiego Farysa, w cennym rękopisie, lśniącym, jak średniowieczny psał-

¹⁾ Malek — po arabsku — Anioł. Tak, wedle wschodniej galanterji, zwali znakomitą cudzoziemkę Beduini.

terz, misternymi winietami, rzucanemi na marginesach²⁾ ręką tego wszechstronnego człowieka.

Dopiął swych marzeń hetmański syn i wnuk. Zrzucił z siebie brzemię przeszłości, był „wolnym człowiekiem”. Swym osobistym walorom, męstwu, sile i rozumowi zawdzięczał, iż „trzyście pokoleń arabskich” zawarło z nim przymierze na chleb i sól — to znaczy — na śmierć i życie. Gdy zmarł syn Emira trybutu Fedanów, wyniesiono na tę godność walecznego cudzoziemca, imię jego Waclaw, czyli Wienczysław na arabskie tłumacząc. Zwano go także Emirem Złotobrodym, gdyż jasnym zarostem różnił się od czarnowłosych synów pustyni. Zresztą wyglądem, strojem, sposobem życia upodobił się do swych przyjaciół. W chwili, gdy przebiegłszy „jak na skrzydłach” przestrzeń, dzielącą go od siedziby romantycznej Lady, stanął, pukając trzykrotnie drzewcem kopji w drzwi jej dworca, niktby nie poznał w nim przybysza z dalekiej Północy.

Jeden ze szkiców, rzuconych na marginesie rękopisu, maluje nam jego ubiór: biała, prosta płótnianka, majestatycznym płaszczem emiralnym pokryta, zawój zielony w żółte pasy okrywa głowę. Nogi bose. W ręku ogromna, lekka kopja, zakończona jakby czarnym irysem.

Hymn arabski, na cześć jego ułożony, mówi: Na szczycie zwycięskiej twej kopji powiewają czarne pióra strusia z Tedmoru i trzy wstęgi koloru krwi. Ostrze twej dzidy błyska wśród żałobnych piór, jak twoja rozpacz błyska w łonie ponurego smutku.

Ilość wstęg oznaczała ilość wrogów, położonych ostrzem tejże kopji na polu sławy.

Gdy wszedł przed oblicze tajemniczej Pani Libanu, ujrzał jakby odbicie swej własnej postaci. Stała przed nim, wyniosła, również białym płaszczem, z Mekki przywiezionym, okryta, na głowie miała biały turban beduiński. Błękitno szare oczy patrzyły chłodno na gościa, przejętego i wzruszonego, mimo, że „nawykły był obcować z monarchami i książętami.”

— Z początku — Emir to mówi — przyjęcie było ceremonialne i niezmiernie chłodne.

²⁾ Rękopis ów, którego przejrzanie zawdzięczać uprzejmości P. Dembego, naczelnika wydziału bibliotecznego w Min. W. R. i O. P., nabyty, dzięki jego staraniom, dla przyszłej Biblioteki Narodowej Polskiej, nosi tytuł: *Sur les Chevaux Orientaux et provenants des Races orientales, parle Comte Venceslas Severin Rzewuski, cidevant officier de la Cavalerie, membre de plusieurs Academies et connu chez les Arabes Beduins sous le nom de l'Emir Tage-el-Faher, Abd-el-Nischam.*

Są to dwa grube tomy in 4^o, aneksy zawierają korespondencję i mnóstwo fantastycznych dygresyj: arabeski na marginesach poważnej pracy etnograficznej i hippicznej. Na podstawie tego rękopisu były już ogłoszone drukiem studia Siemieńskiego i Kaplińskiego pół wieku temu. Szczęśliwie uratowany od zagłady, rękopis ten czeka jeszcze wydania, któreby oddało w całej pełni jego urok dzieła sztuki i wartość dzieła nauki.

— Z jakiego jesteś narodu, jakie rodzinne twe strony? — spytała gościa Lady.

Emir odrzekł gorąco: — Polakiem jestem, synem nieszczęśliwej Ojczyzny, którą wymazano z liczby żyjących narodów. Tułacz i samotnik, przyszedłem szukać wśród wolnego ludu swobody, którą mojej Ojczyźnie odjęto.

„Na te słowa, wypowiedziane z zapalem i czułością, scena zmieniła się, i w jednym momencie, w jednym krótkim zdaniu, Estera objawiła całą niezrównaną tkliwość swej przedziwnej duszy. Od tej chwili przysły więzy etykiety, zdawało się, że to dwoje ludzi, serdecznem z sobą związanych uczuciem, odnajdują się po latach niewidzenia... Nie jest że to głęboka tajemnica dusz, które w prabycie jeszcze krewne mi sobie były? a dziś objawia im się ta egzystencja poprzednia w postaci uczuć, jedynie godnych, by nieśmiertelność na ziemi przedstawiać.”

Emir, gościnnie przyjęty w malowniczej siedzibie Estery, wrócił do niej po raz drugi, a trzecie odwiedziny trwały już trzy tygodnie. Namiot jego stał pod drzewem figowem, pomiędzy domkiem pani, a ruinami starożytnego grobowca.

Widok, jaki się stąd roztaczał, nie miał równego sobie: Złote góry Libanu zniżały się aż do brzegów Śródziemnego morza, którego błękity mieszały się z lazurów niebem.

Na tle baśni wschodniej z lazuru i złota tych dwoje ludzi, którzy uratowali się ucieczką od szarzyzny swego świata, snuło baśń swojej doli, a właściwie snuł ją Emir, sarmacką duszę, tkliwą i miękką, otwierając do głębi nowej przyjaciółce, która z uśmiechem dobrotliwym, a może ze szczyptą ironji, słuchała spowiedzi.

A choć rozmawiali całemi wieczorami, a nieraz i nocami, jeszcze Emirowi przychodziła chęć we dnie na papier wylać swe uczucia. I tak powstał romans, do „Nowej Heloizy” w stylu podobny: cykl listów, opisujących wymarzoną kochankę i nieszczęśliwą miłość tułacza. Czasem gmatwa się sens tych płomiennych wynurzeń i zdaje się, że kochanek, „oszukuje własne serce przez urzeczywistnienie wspomnień przeszłości, gdy dłoń Estery do gorących przyciska ust”...

Jednak w żartobliwym nieco przypisku, „który nigdy drukowanym być nie miał”, Emir zaznacza, że „Anioł” ma już 45 lat, a nie lubi, by jej o tem przypominać — więc być może, że była tylko powierniczką — godziła się zresztą, z tą rolą. Jeden z jej bilecików brzmi: „Kochany Emirze... Czekaj na mnie, pomówimy o Niej po przyjacielsku. Oboje kochać ją będziemy i to nazawsze”...

Kimże była tajemnicza Ona, błędnego rycerza Beatrice, lub Dulcinea?

W cyklu listów, które mamy przed oczyma, tyle jest tajemniczej i wybujałej fantazji, tyle rebusów słownych i obrazkowych, dla niewtajemniczonego niezrozumiałych (*Lecteur, tu n'en sauras rien!*)

że mimowoli szuka się jakiegoś ukrytego sensu. Już dr. Antoni J. (Rolle), piszący "pół wieku" temu a więc bliski jeszcze ustnej tradycji dziejów Emira, wstrząsa sceptycznie głową nad domysłem Siemieńskiego, że mowa tu o jednym z podolskich flirtów Sawrańskiego pana, i dopatruje w wymarzonej bogdance jakiegoś nieziszczanego ideału, symbolu owej tęsknoty, która w świat szeroki wygnała dobrowolnego tułacza.

"Pozwalasz mi mówić o Niej — pisze Emir do Milady.

Z żadnem z bóstw pogańskich porównać jej nie mogę. Psyche—byłoby jedynem, godnem jej mianem".

Kobieta w świecie i w domu

DOBRY PRZYKŁAD KRÓLOWEJ

Królowa belgijska Elżbieta dała wszystkim obywatelkom swego państwa dobry przykład nieuchylania się od spełniania obowiązków obywatelskich, podczas bowiem ostatnich wyborów do ciał municypalnych w Belgii sama udała się do urny wyborczej, by oddać swój głos narówni z innymi obywatelami państwa.

BOHATERKI ANGIELSKIE

"The Vote" podaje nazwiska kobiet angielskich, które otrzymały w tym roku nagrodę Carnegie'ego, udzielaną za czyny bohaterskie, ratując życie innych z poświęceniem własnego. Na czele tej listy widnieje nazwisko pani James Proud, która ocaliła życie czworgu dzieciom podczas pożaru w robotniczej londyńskiej dzielnicy East End, oraz pani Małgorzaty Sutcliffe, nagrodzonej za uratowanie tonącego. Jest to już trzecia z kolei nagroda, którą otrzymuje pani Sutcliffe za ratownictwo.

"ZRÓWNAĆ Z ZIEMIĄ!"

Pomimo zwycięstw, jakie w ubiegłym ćwierćwieczu udało się uzyskać sufrażystkom angielskim na polu równouprawnienia, pozostało jeszcze w Anglii dużo ludzi, przeciwnych wszelkiemu postępowi w dziedzinie t. zw. „kwestji kobieczej”. Dowodem tego—nie dawno powzięta na posiedzeniu Związku Oksfordzkiego uchwała, w której wyrażono życzenie, aby „wszystkie kolegia uniwersyteckie kobiecie zostały zrównane z ziemią”. Motywem tej, osobliwej nieco, jak na wiek dwudziesty, uchwały jest pogląd, iż „wła-

ściwem miejscem dla kobiety jest ognisko domowe, a nie wyższa uczelnia”.

"CUDOWNE DZIECKO" CZY NORMALNA KOBIETA

Pod tym tytułem drukuje „Equal Rights” dłuższy artykuł, poświęcony rozważaniom nad sportem kobiecym, w szczególności zaś — nad dwiema słynnymi już dziś championkami sportu pływackiego, panną Ederle i panią Corson.

„Cudowne dziecko” — oto słowo, które podawano sobie z ust do ust nazajutrz po wielkim rekordzie małej Gertrudy Ederle. Wszyscy bez wyjątku powtarzali to określenie, jakgdyby chcieli przez to wykazać, że zwycięstwo osiemnastoletniej dziewczynki nad całym gronem wytrenowanych, zawodowych pływaków jest tylko przypadkowym, niezwykłym zrządzeniem losu, zjawiskiem tak wyjątkowym, że aż graniczącym z cudownością.

Tymczasem przeszło zaledwie kilka tygodni, a oto nowa wieść wstrząsnęła umysłami wszystkich: pani Corson przepływa La Manche w niewiele dłuższym przeciągu czasu, niż Gertruda Ederle. Tym razem nie mogło już być mowy o „cudownem dziecku”. Pani Corson skończyła lat dwadzieścia siedem i jest kobietą zupełnie normalną, doskonale rozwiniętą pod względem umysłowym i fizycznym, nie żadnem chorobliwym i wyjątkowym zjawiskiem w dziedzinie świata niewieściego. W cóż się obróciła teoria „o patologiczności i niezwykłości” podobnych zjawisk?

Porażka zacieklej przeciwników sportu kobiecego nasuwa nam refleksje na temat niesłychanej żywotności i energii natury kobiecej, oraz tych olbrzymich zmian, jakie zaszły w dziedzinie wychowania fizycznego kobiety w latach ostatnich. Trudno po prostu uwierzyć, że zaledwie przed laty dwudziestu rozpoczynały się pierwsze nieśmiałe próby reakcji przeciwko gorsetom o stalowych bryklach, długim, ciężkim, fałdystym spódnicom, sznurowanym bucikom na wysokich obcasach i tym wszystkim bezsensownym, a szkodliwym wymysłom mody, które z kobiety ubiegłego stulecia czyniły istotę najzupełniej nieprzystosowaną do życia czynnego, ruchliwego, higienicznego! W owym czasie jazda na rowerze uważana była za sport nieestetyczny i niekobiecy, konna jazda zaś dopuszczalną była tylko wtedy, jeśli amazonka siedziała na siodle w sposób dziwnie wykrzywiony, a długa spódnica przykrywała jej nogi aż po czubki palców.

Jakże szczęśliwą, w porównaniu z owymi niewolnicami mody i tradycji, jest kobieta współczesna! Wie ona, że nikt już dziś od niej nie zażąda, aby z ukończeniem lat osiemnastu przeistoczyła się nagle ze zdrowej, normalnie się rozwijającej dziewczynki w istotę wątłą, eteryczną, żyjącą jedynie życiem cieplarnianem, sztucznym. Dzisiejsza młoda dziewczyna wie, że wolno jej używać ruchu, sportów, ćwiczeń fizycznych na równi z jej braćmi — i że ani zamążpójście, ani praca zawodowa nie zamyka jej drogi do normalnego dalszego rozwoju jej sił fizycznych.

Twierdzenie o fizycznej niższości kobiet, o ich słabości i niedołęstwie staje się teraz legendą. Najlepszym dowodem tego są Gertruda Ederle i Amelia Corson. Przekonaniu temu dał wyraz jeden ze znanych literatów amerykańskich, wysyłając bezpośred-

nio po rekordzie pani Corson do New York Times'a kablogram następującej treści:

„Londyn. 28 sierpnia. Druga z kolei Amerykan-ka przepłynęła w tej chwili kanał La Manche od strony francuskiej. Męża jej, zdążającego za nią w łódce, wyniesiono na brzeg, omdlałego z zimna i zdenerwowania. Uprzejmie proszę o sprawdzenie w encyklopedji, którą płeć dotychczas mianowaliśmy stale „słabą“, i o wprowadzenie niezbędnej poprawki“.

Z. B.



TEATR NARODOWY:

„Szkoła żon“, i „Krytyka szkoły żon“ Molière.

Wieczór moljerowski w Teatrze Narodowym ma stanowić jedno z nowych ogniw w łańcuchu żelaznego repertuaru, którym, ze słusznych założeń teoretycznych wychodząc, ten teatr postanowił się opasać. Jest rzeczywiście jednym z zadań reprezentacyjnej sceny dramatycznej polskiej utworzenie i ustalenie repertuaru, złożonego z arcydzieł literatury swojej i obcej czasów minionych. Zdaje mi się, jednak, że wybór rzeczy obcych, które wejść mają do żywego skarbcza naszej reprezentacyjnej sceny, dokonywany być musi z największą rozważą i pod kątem najwyższej kulturalnej potrzeby. Przytem stosunek starych rzeczy obcych, do starych polskich wyrazićby należało cyfrowo w sposób, dający znaczną, bardzo znaczną przewagę rzeczom polskim, tak np. — I do 7. Sądzę, że z Szekspira, Calderona, Schillera, Goethego, Moliera, Racine'a, Corneilla, należałoby wybrać rzeczy rzeczywiście nieodzowne, prawdziwe arcydzieła. Natomiast Słowacki i Wyspiański powinni scenę dramatyczną opanować w sposób niebываły dotychczas.

Prócz nich Fredro. Fredro stać się powinien dla przeciętnego obywatela polskiego tem, czem jest Molière dla przeciętnego francuskiego obywatela. Teatr Narodowy powinien poprostu dążyć do urządzania festivalów Wyspiańskiemu, Słowackiemu i Fredrze poświęconych. Teatr, tak szczególny, tak odrębny od wszystkich, jaki tworzą Słowacki i Wyspiański, teatr, tak polski rdzennie, jak Fredro, oto prawdziwy żelazny łańcuch, którym warto się naprawdę spętać. I nie mogą tu w grę wchodzić argumenty finansowej natury: przecież źle wybranymi „Zbójcami“ i źle wybraną „Szkołą żon“ nie przysporzył teatr Narodowy dużych swej deficytowej kasie zarobków...

Z zamiłowania jestem molierzystką i dlatego mnie osobiście „Szkoła żon“ po polsku prawdziwą zrobiła przyjemność. Lecz odrzucając na bok osobiste zapatrywania i skłonności, czy ta komedia może porwać i zająć naszą przeciętną publiczność? Czy nie lepszy „Świątoszek“ z Frenklem, „Skąpiec“ z Solskim, „Chory z urojeń“ z Kamińskim, „Lekarz mimo woli“ z Zelwerowiczem i „Sawantki“ z całym doskonałym zespołem, na jaki w Polsce tylko Teatr Narodowy stać? Dlaczego „Szkoła żon“? Czyż Solski nie znalazł już lepszych w Molierze ról? I czy dla wątpliwej wartości literackiego już bardzo dowcipu warto było kazać się aktorom uczyć przedniej „Krytyki szkoły żon“?

Molière bez wielkiego zapału, a raczej może nawet w chwili zgryźliwości, która nie jest najlepszą pomocnicą natchnienia, napisał „Szkołę żon“. Ze znakomitego wstępu Boya widzimy, że sztuka ta wywołała swego czasu pewną małą rewolucję towarzysko-

literacką. Stąd „Krytyka szkoły żon“. Śmiała próba samoobrony. Dziś rewolucyjnych zapędów, które zawsze tkwią i tkwić będą w „Sawantkach“ wiecznie świeżych — doszukać się tu trudno. Dlatego sala tak zimno ten wieczór moljerowski przyjęła: zamało w nim było ogólnie ludzkich osiągnięć i zdalekie były aluzje i przesłanki.

Arnolfa grał Solski. Kunszt aktorski Solskiego zbyt jest znany i zbyt wiele razy był omawiany, żeby się nad nim rozwodzić. I tym razu niczego nie puścił, niczego nie zaniedbał. Brakowało mu jednak żywiołowego komizmu, który my, nowocześni widzowie, tak cenimy w odtwórcach Molière. Rolę Anusi powierzono pani Zaklickiej. Rola ta nie daje wielkiego pola do popisu, ze zdaniem, więc, o tej młodzieńczej artystce wstrzymamy się do następnego razu. Dziś — z przyjemnością podkreślam jej wdzięk i „warunki sceniczne“.

TEATR MAŁY

„Jedyny Ratunek“ anekdota w 3 aktach. F. Molnara.

Franciszek Molnar jest autorem kilku doskonałych sztuk: „Bajka o żelaznym wilku“, „Djabel“, „Oficer Gwardji“ — oraz kilkunastu sztuk słabszych, do których zaliczyć musimy grany obecnie w Teatrze Małym „Jedyny ratunek“. Pomimo jednak, że surowa krytyka każe nam zaliczyć tę „anekdotę w 3 aktach“ (taki podtytuł nosi „Jedyny ratunek“) do drugiej kategorii utworów Molnara, nie możemy jej odmówić czysto teatralnych zalet — czem, zresztą, odznaczają się wszystkie komedje tego starego praktyka sceny. Dowcipny pomysł, a zwłaszcza ciągle niespodzianki w rozwiązaniu anekdoty, szczerze bawią publiczność; a dodajmy do tego doskonałe tempo gry i wybornego p. Stanisławskiego, grającego główną rolę.

Oto treść Molnarowskiej anekdoty:

Do prymadonny, Anny Szaky, przyjeżdża jej narzeczony, młody kompozytor Adam, w towarzystwie dwóch swoich przyjaciół: Korta i Mondrela, z którymi do wspólnki pisze operetkę dla Anny. Ponieważ pani domu nie zastali, skracają sobie czas rozmową i przekomarzaniem się. Nagle — prymadonna wraca. Słyszymy przez cienkie drzwi jej miły głosik, i głos inny, męski. Słowa, które ta ukryta za drzwiami para wymienia między sobą, są wielce dwuznaczne, a właściwie, tak niedwuznaczne, że Adam grozi stanowczo, że zerwie z narzeczoną. Byłoby to katastrofą dla operetki, którą za wszelką cenę trzeba ratować. Ale jak?

Kort wpada na pomysł. Każe Mondrelowi pilnować zrozpaczonego Adama, a sam udaje się do Biblioteki, Będzie pisał. I napisał: jednoaktówkę, w której dosłownie umieścił dialog, zasłyszany przez drzwi. Następnie przedstawił sytuację Annie; prymadonna rozpacza, partner jej, aktor Almadv, również pragnąłby uniknąć skandalu. Kort proponuje im łatwe i praktyczne wyjście: niech się nauczą jego jednoaktówki i zagrają ją tegoż wieczoru na raucie, który ma się odbyć na zamku. Anna i Almadv godzą się. Akt ten kończy się w sposób nieoczekiwany: kompozytorzy przyłapują Annę na nowem rendez-vous z Almadym...

Akt trzeci. Kort wytłumaczył Adamowi, że nie powinien się zdradzić, że słyszał rozmowę Anny z Almadym. Odbywa się próba z jednoaktówki, sufluje Adam, potem Kort. I naraz, ku swemu wielkiemu zdumieniu Adam, Mondrel i Kort słyszą z ust aktorów te same słowa, które słyszeli już raz — przez drzwi... Adam nie wierzy własnym uszom, sprawdza egzemplarz... Kort zaczyna sobie „przypominać“. Mondrel ma pewne wątpliwości: przecież wtedy była noc! Kort tłumaczy: mieli niedużo czasu. Adam uwierzył — a o to przecież chodziło libreciście. Operetka uratowana, skandal uniknięty.

Jak wspomniałam, p. Stanisławski dał doskonałą postać Korta, ożywiając tę nieco resonerską i bezbarwną rolę. Bardzo dobrego partnera znalazł w Boneckim-Mondrelu. Wesołowski był szczerem Adamem — nie mając zresztą wielkiego pola do wygrania się: pani Modzelewska w roli Anny, niestety, trochę szarżowała. Najlepiej udał jej się akt trzeci.

Z. F.

O WNETRZACH MIESZKANIOWYCH

URZĄDZENIE MIESZKANIA

Najpomysłniejszym warunkiem indywidualnego urządzenia mieszkania będzie ten, gdy się ma dość dużo pieniędzy i żadnego balastu, w postaci odziedziczonych zabytków, będących nieraz prawdziwą zawadą. Bo to trzeba je pielęgnować, oszczędzać, a korzyści mało. Przytem jest pewne skrupowanie, bo trzeba, jak już pisałem, umiejętnie dobierać nowe meble, by pasowały do starych. Inną rzeczą jest to, że dla ludzi, lubiących tradycję, rozmiłowanych w przeszłości wogóle, a w dziejach swej rodziny szczególnie, pełnych sentymentu do chwil minionych, — w mieszkaniu nowoczesnem będzie zawsze czegoś brakowało. Tym brakiem będzie nieobecność nici, wiążących terażniejszość z przeszłością.

Dla ludzi „nowych“, ludzi, którzy dopiero sami — przez pracę i naukę — doszli do stanu posiadania, pozwalającego na stworzenie kulturalnego domu, dla tych ludzi tradycja rodowa nie istnieje. Cenię bardzo tych, którzy własnym wysiłkiem dźwignęli się na wyższy szczebel drabiny społecznej, ale to oni dopiero zaczynają nowy szczepek w swym rodzie. Dla nich przeszłość to będzie mdły obraz biednej wyrobniczej izby, czy skromniutkiego gospodarstwa małorolnego. Będą mieli szeregi przodków, lecz wszyscy zleją się w jeden spólny symbol ciężkiej pracy fizycznej. Mogą przejść na młodych ich wielkie ideały miłości kraju, ziemi, czy pracy, przywiązania do religii, czy mowy ojczyściej, ale nie przejdą umiłowania do starych sprzętów, rysunków, całego szeregu przedmiotów, o które zahaczała myśl jeszcze dawniejszych pokoleń. Nie może przejść to, czego nie było. W skromnym domu ludzi pracy nie było miejsca na uczucia do przedmiotów, zresztą były tylko najpotrzebniejsze graty, bez wartości, po zniszczeniu zastępowane nowymi. Tradycja ludzi nowych będzie, o ile będzie — raczej duchową.

Gdy natomiast mamy rodziny, parę wieków ciągnące swój byt na poziomie wyższej kultury, dla tych ludzi przeszłość ma ogromną wartość. I to właśnie przeszłość, zamknięta w domu rodzinnym. Ten dom ich wychował, urobił im charakter i umiłowania. Tak samo wychował ich rodziców, dziadów i pradiadów. Każde pokolenie coś dorzuciło, uzupełniło w duchu czasu wnętrze mieszkalne. Zostawiło część swego „ja“, swego gustu i upodobania.

A przytem, spędzając życie całe w tem samym otoczeniu, zostawiło każde pokolenie coś ze swych myśli na przedmiotach. To zdanie może się wydać zabawnem, a jednak coraz więcej ludzi wierzy w to, że myśli i zamierzenia pozostawiają pewien całkiem realny ślad na przedmiotach. Zjawisko to można obserwować w starych dworach i mieszkaniach, gdy się posiada choć trochę intuicji.

Biorąc do rąk stary modlitewnik, którego prababka używała całe swoje życie, czy zasiadając w fotelu dziadka, który długie miesiące choroby w nim spędził — czujemy, jakby nieuchwytne, leciutkie isierki myśli wślazwały nam się do mózgu. Myśli nam obce, nieznane, a jakieś pokrewne. Myśli naszych przodków. Cóż mówić o całych zespołach wnętrz, tchnących wspomnieniami, żywą historją ludzi najbliższych? Czuje się zupełnie wyraźnie, że te martwe

przedmioty są nam bliskie. I dlatego nie wyrzuca się ich na śmietnik, choć stają się bezużytecznymi. Tradycja rodzinna. Umilowanie miejsc i przedmiotów, przechodzące z pokolenia na pokolenie. Historia własna, która nas otacza. Wnętrza pamiątkowe. — Rzeczy, zrozumiałe tylko dla ludzi, którzy je przeżyli.

Gdy teraz przychodzi nowa epoka, pędząca jak huragan, epoka, olśniewająca swą wiedzą — stajemy bezradni. Jak pogodzić terażniejszość z tem, co było, nie stwarzając dysonansów? Czy zrywać z przeszłością? Zazdrościmy ludziom nowym, że nie mają balastu tradycji, że mogą mknać swobodnie po szybkim nurcie. Wraz z nimi idą ci, co potracili swe domy w czasie wojny i budują dziś z trudem nowe gniazda.

Rola trudna i zaszczytna przypada tym, którzy są posiadaczami pamiątkowych dworów i wnętrz. Nie mają oni prawa niszczyć, burzyć i rozpraszać wśród obcych zebranych zabytków. Stary dwór — to muzeum, muzeum redziny, świadek kultury rodu. A tem samem świadek kultury narodowej, własność całego społeczeństwa. Komu przypadło w udziale posiadanie takiego gniazda, winien je pielęgnować z całą troskliwością. Świadczy oń o kulturze kraju, o jego historyczności i dawności. Polska ma tak niewiele pamiątek, ocalałych z pogromów i wojen, że te, co są, powinny być traktowane nieomal, jak relikwie.

A jednak życie ma swoje wymagania i musimy im się poddawać. Przed starym dworem coraz częściej staje automobil, zamiast karety. Trzeba życie modernizować i to jest najtrudniejsze. Aby stary dwór był zdatny do mieszkania, miał wygody nowoczesne i nie rażące. Zaprowadzenie elektryczności, umiejętne dostosowanie światła, aby było obfite i dostateczne — to pierwsze zadanie. Telefon zręcznie ukryjemy w gabinecie, czy sypialni. W bocznym pokoiku urządzi się nową łazienkę. Gdy dom jest duży, można jedną część przeznaczyć na rodzaj muzeum (salon, jadalny, biblioteka, gabinet, gościnny), a część zastosować do wymagań dzisiejszych, a więc sypialnie, ubieralnie, pokoje dzieci. Jest to jedyne wyjście. Gdy znów dwór staje się niemożliwy do zamieszkania, jest zniszczony, walący się, tak że remont jest wykluczony, musimy wtedy pożegnać przeszłość i wystawić całkiem nowy budynek, nie żadną kopję. Wybierzemy wtedy najcenniejsze, najdroższe, najbardziej pamiątkowe przedmioty i przeniesiemy je do nowego domu. Powstają więc możliwości wnętrz, gdy w stare ściany wejdą nowe meble, i gdy się do nowego domu wprowadzi antyki. Do wszystkiego trzeba zamięłowania i umiejętności.

Nie rwijmy się nigdy do modernizmów. Trzeba rozumieć, że odrazu stare rzeczy nie znikną z przed oczu. Wogóle nie znikną. Wiele zabytków musi trwać, by świadczyło o kulturze narodowej. Weźmy Francję. Od czasów Karola Wielkiego są tam zamki. Każde stulecie, każda epoka i panowanie zostawiały coś krajowi. Jest to przechowywane z pietyzmem. A jednocześnie buduje się najwspółczesniejsze domy. Huczy Paryż swym piekielnym wirem na cały świat. Jedni będą mieszkali w starych domostwach i zamkach, inni — w nowych willach. Jedni drugim zazdroszą: młody markiz — nowoczesnego domu, a człowiek nowy dałby wiele, by mieć rodowe gniazdo, rzecz nie do kupienia. Są to rzeczy ludzkie.

Trudność polega na tem, by się ludzie pogodzili ze swymi rolami. Jeden musi przyjąć narzuconą mu przez los rolę konserwatora, inny musi poprzestać na

współczesności. Jak jedno, tak i drugie stanowisko ma swoje braki, swoje zalety, a przede wszystkim jedno i drugie jest potrzebne Państwu. Musimy mieć świadectwo starej cywilizacji i musimy wykazać, że jesteśmy żywotni, że idziemy z prądem czasu.

Inne zagadnienia powstają w miastach. Popatrzmy na nasze życie obecne, na szeregi mieszkań dzisiejszych. Zanim powstaną nowe miasta, nowe domy, nowe dzielnice, życie trwa wciąż, mieszkać gdzieś trzeba stale. Chodzi o to, jak mieszkać? Zamało jest snuć marzenia, że się kiedyś, gdzieś, inaczej urządzi, we własnym domu, jak będzie lepiej.

Większość ludzi mieszka dziś fatalnie. Złożyło się na to sto i jedna przyczyna. Nie będę ich roztrząsał. Trzeba sobie ulżyć, trzeba stworzyć całym wysiłkiem przyjemny home już dziś, nie czekając jutra, lub pojutrze, które będzie lepsze. Oglądamy projekty młodych architektów, wydają się nam nierealne, mamy wrażenie, że to nigdy u nas nie powstanie. Owszem, ale nie zaraz. Ale mamy swoje mieszkania, jedno, dwu, trzy, pokojowe. Odnajęte i własne, z wygodami i bez. Ale w nich mieszkamy, żyjemy. Czy mają one nasze indywidualne cechy? Czy są to naprawdę „nasze mieszkania“?

Trzeba przyjrzeć się w wolny, jasny dzień swemu mieszkaniu. Czy ustawienie mebli jest doskonałe wygodne, czy się nic nie da zmienić na lepsze? Przecież jest tyle możliwości, należy spróbować, może będzie lepiej inaczej przesunąć biurko, szafę, czy łóżko. Trochę trudu, to prawda, ale ile przyjemności i zadowolenia potem, gdy się zrobi lepiej, dogodniej, a może i ładniej? Popatrzmy na ściany, czy nic nie trzeba przewiesić, dodać, ująć? Zrobmy próbę jedną, drugą, aż będzie dobrze. Tak niekosztowną rzeczą jest prosta, biała tiulowa firanka nad okna, a ileż ciepła, miękkości i zaciszości dodaje najskromniejszemu pokojowi. Choćby falbana u góry i zazdrostki na szybach dolnych. A może są w pokoju sztuczne kwiaty z papieru? Radzę szczerze je zaraz spalić. Niema nic strasniejszego, jak te martwe, wieczyście jednakowo sztywne, sztuczne kwiaty. Wyglądają, jak trupy, gdy tkwią w szklanym wazonie. Myślę, że jest ich bardzo mało? Nigdy nie należy żałować grosza na jasne oświetlenie mieszkania. Można oszczędzać światło i palić tylko w jednym pokoju lampę, gdzie się siedzi, ale musi być ona jasna. Ciemny, mroczny pokój sprzyja rozwojowi melancholji i zgryźliwości. Tyle rzeczy da się zrobić z łatwością w mieszkaniu, by je umilić, a tak mało osób o to dba. Szczególniej jest to zadaniem kobiet.

Doradzam wszystkim o skromnych funduszach, niech przy remoncie w najbliższym czasie zamienią tapetę na kolorowe tynki (niewalające), o ile jeszcze tego nie zrobili. Gdy zamiast pstrego deseni taniego obicia stanie nam przed oczami kremowa słoneczna ściana, zaraz weselej będzie w domu, a więc i na duszy. A gdy wszyscy będą radzi, będzie pogodne społeczeństwo, z uśmiechem czekające lepszego jutra. Tylko trzeba już zaraz, dziś, zacząć rozsłoneczniać atmosferę domu, już dziś zacząć się uśmiechać.

Zygmunt Knothé.



3) JAK WYNALEZIONO RADJO?

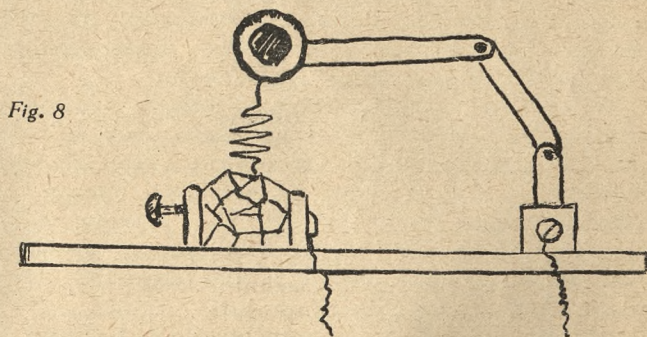
Otóż słuchawka telefoniczna będzie tem czulsza, im więcej zwojów posiadają jej cewki, gdyż powiększanie uzwojenia pozwala na chwytywanie coraz słabszych fal. Jednakże przy ograniczonych z natury rzeczy wymiarach cewek, im większą się da ilość uzwojeń, tem cieńszy trzeba stosować do tego drut. Wpływa to z kolei na powiększanie t. zw. oporu omowego.

Prąd, bowiem, tem trudniej płynie przez przewodnik, im bardziej jest ten przewodnik cienki. Jednakże nie należy sądzić, że właśnie temu oporowi uzwojeń zawdzięcza słuchawka swą wrażliwość. W każdym razie najłatwiejszym technicznie sposobem zbadania czułości słuchawki jest zmierzenie jej oporu omowego, gdyż to nam świadczy o ilości uzwojeń. Używane obecnie w radjofonji słuchawki, jak np: Point-Bleu, Nespera i t. d. mają zazwyczaj wymiary 2 i 4 tysiące omów. Wszakże fala elektromagnetyczna, padająca w pewnej odległości od stacji nadawczej na antenę stacji odbiorczej, jest tak słaba i posiada tak szybką ilość drgań, że uchwycenie jej w niezmienionej formie jest niemożliwe. Słaby prąd nie jest bowiem w stanie przewyciężyć mechanicznej bezwładności błony, a gdyby nawet tak nadzwyczajnie czułą błonę wynaleziono, to drgania tego prądu są tak wielkiej częstotliwości, że ucho ludzkie nie odczułoby ich w postaci dźwięku.

Należało zatem drgania, powstające w antenie odbiorczej, tak przekształcić, żeby słuchawka i ucho ludzkie mogły na nie zareagować. I w tym kierunku pierwszy krok uczynił Marconi.

Opierając się na doświadczeniu J. Henry'ego w Ameryce i E. Rutheforda w uniwersytecie Cambridge, konstruował t. zw. detektor magnetyczny, który już pozwalał na odbieranie przez telefon znaków Morse'go.

Nie będziemy zastanawiali się nad budową tego przyrządu, który dał impuls całemu szeregowi konstruktorów do budowania coraz doskonalszych i czulszych. Damy tu rysunek najpowszechniej dziś używanego, „demokratycznego“ detektora krystalicznego. (Fig. 8) Jest to t. zw. detektor stykowy, gdyż stanowi połączenie igły metalowej z kryształem mineralnym. Najczęściej stosuje się do tego srebro i galenę (siarczek ołowiu).



Wynalazek detektora krystalicznego przypadł w udziale Braunowi i Pickardowi.

Na czem polega działanie detektora? Charakterystycznym dla niego jest to, że może przepuścić w jedną stronę znacznie, (nieraz 100 razy) silniejszy prąd, niż w drugą. To też detektora używamy jako prostownika prądu, gdyż włączony szeregowo za słuchawką, jak widzimy na najprostszym schemacie

stacji odbiorczej (Fig. 9), sprawia, że prąd będzie szedł tylko w jednym kierunku, działając na błonę słuchawki rzadszemi, dającymi się już słyszeć, impulsami.

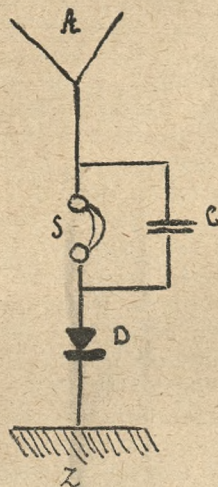


Fig. 9

Jeżeli jeszcze równolegle do uzwojeń słuchawki włączymy kondensator o stałej pojemności C (Fig. 9), nazywany tu kondensatorem zaworowym, to dźwięk odbieranych sygnałów znacznie się spotęguje. Jednostronne, bowiem, pulsacje prądu, o wysokiej częstotliwości, ładują kondensator C , który powoli wyładowuje się w telefon, dając rzadkie i silne drgania. Kondensator ten znajdziemy w każdym radjoodbiorniku. Schemat, powyżej podany, wyobraża najprostszą stację odbiorczą, którą używano do odbierania sygnałów na pierwszym stopniu radjotelegrafii.

Jeśli pania, pod wpływem mego artykułu, ogarnie kiedy chęć skonstruowania sobie własnej stacji odbiorczej, to znajdzie pani odpowiedni schemat w dalszym jego rozwoju.

Przedtem, jednakże, pomówimy o lampie katodowej, tym uniwersalnym sprzęcie, bez którego nie można sobie nawet wyobrazić dzisiejszego broadcastingu. Bo jeśli nie wyłącznie, to w ogromnej mierze, zawdzięcza on lampie katodowej swój rozwój.

Lampy katodowej używa się przede wszystkim jako detektora do prostowania słabych prądów drgających, powstających w antenie odbiorczej, jako amplifikatora — do wielokrotnego wzmacniania słabych prądów odbiorczych i wreszcie jako generatora — do wytwarzania niegasnących fal.

Pierwsze lampy katodowe skonstruował fizyk angielski J. A. Fleming w 1904 r., stosując je do wykrywania fal elektromagnetycznych. Jednocześnie z nim czynili doświadczenia Niemiec A. Wehnelt i Amerykanin Lee de Forest, który wynalazł powszechnie dziś używany typ lampki trójelektrodowej.

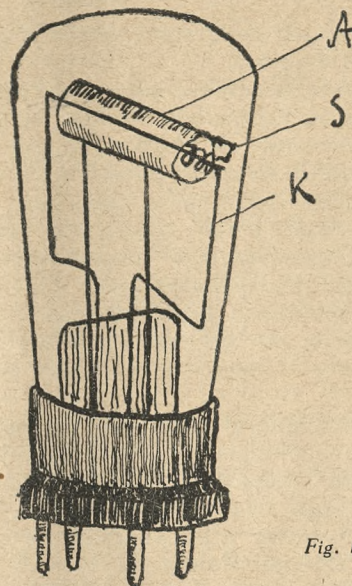


Fig. 10



Lampa taka przedstawia się, jak następuje: Bańka szklana (fig. 10), z której jaknajdokładniej zostało wypompowane powietrze, posiada wewnątrz trzy elektrody: A — anodę w kształcie płytki, K katodę, czyli drucik żarowy, i S — siatkę.

Rozmieszczenie elektrod bywa zawsze takie, że siatka oddziela katodę od anody. Nazewnątrz lampa posiada cztery końcówki (wtyczki), z których dwie są połączone z końcami katody, pozostałe dwie — z anodą i siatką.

U będących w handlu lamp katodowych katoda ma zazwyczaj kształt linii prostej, otoczonej cylindryczną spiralką siatki, anoda zaś — kształt cylindra, otaczającego siatki.

Wtyczki są u lamp rozstawione w ten sposób, że przy zakładaniu lamp do gniazd wtyczkowych nie może zajść żadna pomyłka. Drucik żarowy katody bywa zazwyczaj z wolframu, pozostałe elektrody z niklu. Próżnia wewnątrz lampy jest bardzo wysoka.

Br. L. Życki

DLA PRENUMERATOREK „BLUSZCZU”

ZNIŻKA 33%

przy prenumeracie kwartalnej miesięcznika ilustrowanego dla wszystkich p. t.

„NA FALI”

Nietylko naukę i pożytek, ale zdrową rozrywkę w estetycznej formie nieść powinno słowo drukowane.

W myśl tej zasady chcemy udostępnić czytelnikom naszym nowe wydawnictwo, dając im za 3 złote prenumeraty kwartalnej 3 numery „Na fali”, których cena w handlu księgarskim wynosić będzie 4 zł. 50 gr.

„Na fali” zawiera ciekawe nowele, humoreski, obrazki egzotyczne, listy z podróży przez specjalnych korespondentów, artykuły popularno-naukowe z dziedziny nowych odkryć i wynalazków, z zakresu architektury, sztuk pięknych, sportu, życia towarzyskiego, tańca, teatru, kina i t. p. Daje obraz życia współczesnego w szeregu artystycznie wykonanych ilustracji.

Specjalną uwagę poświęcać będzie kącikowi humorystycznemu i działowi rozrywek umysłowych.

Każda z Czytelniczek „Bluszczu” powinna natychmiast przesłać prenumeratę kwartalną 3 zł. na konto P.K.O. 14.400. „Na fali” ukazywać się będzie w końcu każdego miesiąca — pierwszy numer już wyszedł z druku.

Adres Redakcji — Krakowskie-Przedmieście 99. Adres Administracji — Górnośląska 19.

INDYWIDUALIZM STROJU KOBIECEGO, A JEGO UNARODOWIENIE

Nareszcie, rozległo się za granicą hasło rozpętania skrepowanej modą kobiety.

Rzucano propozycję ubierania się w suknie dowolnego kształtu, według osobistego upodobania.

Rozszerzając granice owych swobód, moglibyśmy dziś przyjąć do ujawnienia naszych polskich ukochań.

A stać się to może wtedy, gdy zechcemy spotrzeć, że narzucane stroje i ich zdobnictwo są jak owe tapety fabryczne, powtarzające motyw obojętny dla każdego, przeznaczony dla wszystkich.

Ten kosmopolityzm stroju uspił duszę.

Nie ożywia pojęcie, że ubieramy się w to, co spłynęło na naszą figurę z wysiłku artystów, pracujących dla Polski.

Jak wielką pod względem treści jest przeszłość nasza, jak bogatą w uczucia jest dusza polskiej kobiety, tak bezgranicznie rozległym może być typ unarodowionego ubioru i jego zdobnictwo.

Nie może też być mowy o bezpośrednim posilkowaniu się ubiorami dawnej Polski.

Trzeba być pomysłowym i twórczym.

Nie odbiegając od ogólnie przyjętego sposobu odziewania się, za podstawę do specyficznego scharakteryzowania sukni kobiety polskiej musi posłużyć w dużej mierze takie zdobnictwo, które będzie rzetelnie polskim i zwiąże się w dobrą całość z krojem sukni, mającej w sobie pewne swojskie znamiona, o których niżej.

W przyrodzie mamy przepiękne przykłady kolorów, kształtów, koloru i wyrazu, przykłady doskonałej harmonii.

Artysta w swojej sztuce rozszerza podpatrzony przymioty, — on, w poważnie pojętych pracach, bez względu na rodzaj sztuki, potrafi w swoim dziele zamknąć duszę narodu, epoki, momentu.

Jeśli dla artysty niema przedmiotu, któremu on nie potrafiłby dać życia, — dla czego niema mu być oddaną suknią kobiety polskiej, dziewczynki i dziecka, — gdy on może zachęcić do myślenia i zastanawiania się nad tem, co one noszą.

Noszenie takiej, a nie innej sukni może wynikać nie z samej tylko chęci strojenia się i podobania, lecz i z potrzeby noszenia odzieży, w której tkwi jakaś myśl głębsza.

Idąc śladami dawnych u nas wysiłków kulturalnych, artyście, któryby zechciał w tym kierunku pracować, wystarczy zestawienie treści przeżyć własnego narodu, z dziełami sztuki, jakie nam się dostały z przeszłości — wystarczy porównanie charakteru wszystkich stanów w dawnej Polsce z duszą obecnego pokolenia, aby znalazł on do prac nad unarodowieniem ubioru kobiety w Polsce wystarczające materiały i pobudki.

Suknia może być lubianą, nie tylko ze względu na jej wygląd estetyczny, na jej dobre dopasowanie do osoby, ale i z tego względu, że da się jej to, co ludzie myślący ukochali, otoczyli czcią, szacunkiem, co ich wiąże z przeszłością i co chcieliby przekazać potomnym.

Taka suknia, to jak te wszystkie inne dzieła, w których żyje duch narodu, może być i powinna

być pamiątką rodzinną i narodową, a nie stawać się po użyciu niepotrzebnym łachmanem.

Taką to przejętą myślą, opierając się na znamionach życia polskiego w różnych epokach, próbuję znaleźć wyjście w omawianym kierunku, próbuję otrzymać dogodną szatę, taką, któraby mogła być skromną, lub ozdobną t. j. do różnych przeznaczeń, jak nie mniej i być przystosowaną do różnego wieku osób płci żeńskiej, próbuję otrzymać ubiór, w którym powinna być majestatyczna królewskość duszy polskiej, uczucie rycerskie, dobroć i obowiązkowość.

Z podjętych w tym kierunku prac, wybieram na początek, do przedstawienia, to drobne zdobnictwo stare, które mi było powodem do rozmyślań i wytworzenia całego ubioru, o różnych odmianach.

Ornament, jak aktor, gra taką rolę, jaką mu da autor: on, ornament, od uduchowionego artysty otrzymuje wyraz, tak łatwy do zrozumienia, jak wszelki grymas twarzy, przelotny, lub długotrwały, widziany na scenie teatralnej — wstrząsający strachem, lub śmiechem, wywołujący uczucie radości, czy smutku.

Ze dziś ogół maskę twarzy ludzkiej i zwierzęcej rozumie, a wyrazu ornamentu nie czuje — to bardzo zrozumiałe.

Oddaliliśmy szeroki ogół naszą teraźniejszą sztuką plastyczną od głębokich zagadnień.

Kto uprawia teraz przepiękną kiedyś sztukę religijną, imponującą ogromem myśli, ujawnioną w najniklejszym nawet, na pozór, zdobnictwie, pełnem symboliki i przenośni; kto uprawia w wielkim stylu sztukę dziejowo-patriotyczną i polską obyczajową; kto i gdzie daje pomniki i sarkofagi o takich wartościach myślowych, jak je posiada Wawel; kto idzie śladami naszych potentatów, jak Kazimierz Wielki, w uczczeniu ojców uzewnętrznieniem ich przymiotów, jako wzoru do naśladowań; kto poucza, jak Anna Jagiellonka, odważnem ujawnieniem na trumnie brata (Zygmunta Augusta) jego ułomności; kto przeraża i napomina, jak biskup Trzebiecki, kompozycją ornamentacyjną, daną w bramie kaplicy Wazów na wzgórzu Wawelskiem; kto każe promieniować miłością Boga i Ojczyzny za przykładem Jadwigi?...

Kobieta polska, ona, która tak czuje i uwielbia muzykę Chopina, — ona, tak wrażliwa na uderzenia wszystkich serc, z łatwością przejmie ze starego ornamentu uwieczniony w nim wyraz, jeśli tylko zechce — pokocha go bezwzględnie, jako świadka dawnych czasów, i odmłodzając go po swojemu do siebie zbliży, swoją szatę pięknie nim ozdobi, zwiąże swoją myśl z przymiotami, które on dawniej cechował, odnajdując w nich swoją własną istotę, oddaną uwadze przyszłych znów pokoleń.

Uważam, że z wielu względów jest rzeczą pożyteczną nie odmawianie sobie praw do pomysłowego przerobienia odnalezionego fragmentu, w związku z potrzebą przystosowania go do noszonego ubioru, lub użycia w najprzeróżniejszych odmianach przy ozdabianiu tego, czem się polska kobieta otacza, — byle w czasie tych przeróbek nie zgasić iskry życia i tego życia charakteru.

Temu wszystkiemu dając cechę polską, swojską, podnosząc może nieraz w wartości myślowej, wytworzyć może kobieta polska nową swoją modę, a rzecz piękną pod każdym względem, jako obdarzona poczuciem estetycznym, — która posłuży nie tylko jej samej osobiście i najbliższemu, — udowodni obcym, że zwróciła ona swe oko i serce ku przeszłości, że odnalazła tego starego, dawnego mistrza, który prze-

kazał potomnym niezniszczalne dowody wysokiej kultury. Dźwiganie starej polskiej kultury na coraz to wyższe szczyty, świadczy o żywotności i dojrzałości narodu, który o swoje zdrowe istnienie dba i swoje stanowisko w świecie cywilizowanym godnie i stale na należytej wysokości utrzymuje.

Przechodząc do przykładów, daję szereg rysunków ze zdobnictwa.

Przerobieniem pierwowzoru, czerpanego z różnych dzieł sztuki, uprawianej w Polsce, chcę zachęcić kobietę polską do odnośnych poszukiwań i prac na polu, na które rzucam moje drobne ziarno czynu.

Aleksander Borawski.

Na str. 6 i 7 dodatku „Mód” podajemy wzory ornamentacyjne, zaczerpnięte przez autora nin. artykułu z dawnej sztuki polskiej, a możliwe dla przystosowania do potrzeb dzisiejszej mody.

Przyp. red.



DRUGI KONKURS GOTOWANIA NA GAZIE

Wciągu czterech lekcji dwugodzinnych można nauczyć sprytną, a chętną dziewczynę sprawnego i oszczędnego manipulowania z palnikami kuchenki gazowej, a nawet użycia najnowszych rondli i przyrządów, oszczędzających czas i paliwo; kobieta inteligentna nawet tyle czasu nie potrzebuje; jeden uważnie wysłuchany, pokaz jej wystarczy. To też nie będę tu pisała o gotowaniu na gazie, ale, tylko o refleksjach, które po takim pokazie się mimowoli robi.

Nasze kucharki przeważnie nie umieją gotować, a nasze panie nie posiadają wiadomości dosyć, aby je tego nauczyć. Kuchnia domowa staje się strasznie jednostajną, i wycieczka do restauracji jest uważana jako przyjemność, gastronomiczna. A powinno być przeciwnie; kuchnia domowa powinna być tym ideałem, do którego każdy smakosz wzdychać powinien.

Ze wszystkich kucharek, które ukończyły kurs gotowania, wybrano, zapomocą ścisłej selekcji, jedenaście najbardziej uzdolnionych. Wszystkie kandydatki musiały wykazać swą umiejętność obchodzenia się z kuchnią gazową i przyrządami, a jednocześnie zdać ustny egzamin z przyrządzania najprostszych dań — żadnych wymysłów, żadnych delikatesów, zwyczajne rosóły i barszcze, kotlety i sztuftady, kompoty i szarlotki. I tylko połowa wyszła z tego zwycięsko, przy czem bardzo jest charakterystycznym to, że te same, co wykazały najlepsze postępy w obchodzeniu się z przyrządami, jednocześnie najlepiej odpowiadały na kulinarne pytania, czyli, że ogólna inteligencja dopomaga w opanowaniu tych dwóch różnych grup zajęć.

Muszę tu ze smutkiem zaznaczyć, że poziom wiadomości kulinarnych był niesłychanie niski. Zupy najpospolitsze każda знаła, dania mięsne jeszcze jako tako, jarzyny, za wyjątkiem najpospolitszych, przeważnie im nie były znane, a co do legumin, to między dwudziestu kilku kandydatkami była jedna taka, co nigdy żadnej nie robiła leguminy, jedna — co robiła tylko kompoty przez życie całe i jedna, co nawet

kompotu nigdy nie gotowała. I ten brak wiadomości nie był ich winą; nie kazano im robić, nie wskazano — jak, więc nie robiły. Były, naturalnie, szczęśliwe wyjątki i jedenaście tych szczęśliwych wyjątków stanęło do konkursu. Nie wiedziały zgóry, co będą gotowały, więc nie mogło być mowy o uprzednim przygotowaniu. Aby wszystkie miały jednakowe warunki miejsca, stoły ciągnęły na losy. Produkty otrzymały pod jednakową miarą i wagą. Jeden warunek był bardzo uciążliwy, — jednakowo dla wszystkich, — jury i dyrekcja wciąż obecne, wciąż dozorujące roboty, publiczność — ciekawie przyglądająca się pracy. Wytwarza to atmosferę strasznego zdenerwowania, w której praca jest utrudniona. Mimo to konkurs przeszedł pomyślnie. Jadłospis się składał z zupy cytrynowej ze śmietaną i z ryżem, przyczem było zastrzeżone, że ryż ma być ugotowany oddzielnie i dopiero wkońcu dodany do zupy. Dalej sznycle cielęce z marchewką i groszkiem. Kompot z jabłek i z pomarańcz i piernik litewski, pieczony w „Prodige”, który te panie już na lekcji robiły, a chodziło o takie ciasto, któreby wszystkie potrafiły zrobić. Otóż znówu zużycie gazu było nadzwyczaj umiejętnie. Ta, co zużyła go najwięcej, zużyła go na 22 grosze zaledwie, ta, co najmniej — na 17 groszy. Natomiast co do strony kulinarnej, to na przykład sznycle, których umiejętnie przysmażenie i równomierne zrumienienie, jest, według mnie, doskonałym egzaminem uzdolnienia kucharskiego, zaledwie u dwóch kucharek były zupełnie dobre i smaczne, u wszystkich prawie były one więcej duszone, czy gotowane, niż smażone, blade, niedosmażone, nieapetyczne.

Nieco lepszy rezultat dały zupy, jednak nie wszystkie jednakowo smaczne. Marchewka z groszkiem z konserwy jest jarzyną, nie dającą się, chyba, zepsuć, kompoty też wszystkie były jadalne, conajwyżej w podaniu i ułożeniu ich na salaterkach znać było większy, lub mniejszy smak i gust autorki. Pierniki naogół były dobre, czyli nauka i tu w las nie poszła, — dwa opadły, nie wskutek złego przyrządzenia, lecz były zbyt wczesnie wyjęte z formy. Jeśli tak długo się zatrzymałam przy opisie dań i ich wykonaniu, to tylko dlatego, aby czytelniczkom dać dokładne pojęcie o tem, że nic trudnego od kandydatek nie wymagano. Najlepsza wykonawczyni, która jednocześnie zużyła najmniejszą ilość gazu, otrzymała precyzyjny zegarek na bransoletce, dwie następne — nagrody pieniężne.

To jest sprawozdanie, a dalej idą refleksje. Gdzie się dzisiaj taka służąca ma nauczyć gotować? Każda pani, przyjmując ją do służby, chce mieć już umiejętną osobę, a tam, gdzie przez oszczędność biorą tańszą dziewczynę, nic nie umiejącą, niczego się ona nie nauczy, bo wiadomości samej pani poza kotlety siekane wołowe i odbijane wieprzowe, poza barszcz i rosół (i to rosół przeważnie mętny i niesmaczny) nie idą. Jarzyn się nie jada, za wyjątkiem kartofli, kapusty i buraków. Owoce uważa się za zbytek i jada przeważnie na surowo. Legumina, to prawie zawsze tylko ciastka z cukierni. I umiejętność gotowania, która dawniej prawdziwą sztuką nieomal była, upada coraz niżej, i coraz trudniej o umiejętną kucharkę.

Dawniej, gdy w każdym domu trzymano kilkoro służby, młodsza i praczka, widząc, jak gotuje kucharka, uczyły się od niej, awansowały w hierarchii służbowej i tradycja dobrej kuchni szła z niemi z domu do domu. Wojna to wszystko zniszczyła. Brak produktów wczasie okupacji niemieckiej, ogólny zły stan ekonomiczny, przymusowa oszczędność, — wszystko fatalnie wpłynęło na rozwój sztuki kulinarnej u nas. Są

jeszcze świetne kucharki, są świetnie znające się na kuchni panie, są domy, gdzie się jada wyśmienicie. Lecz są to tylko szczęśliwe wyjątki, które potwierdzają ogólną regułę. Otóż jedynym wyjściem z tej sytuacji byłyby dostępne, a umiejętnie prowadzone szkoły kucharskie. Parę szkół związkowych, istniejących w Warszawie, są kroplą w morzu, zresztą, są połączone z taniemi jadłodajniami, co zawsze źle wpływa na jakość przyrządzanych potraw. Dobrze znana szkoła pani Marty Norkowskiej, która od ćwierć wieku kształci szeregi dobrych gospodyń, jest przeznaczona dla inteligentek. Przy szkołach powszechnych są kursa gospodarstwa domowego i to kursa doskonale prowadzone i na zasadzie samowystarczalności, to jest koszt przyrządzonych dań pokrywają same uczennice, lub nauczycielki i same je zjadają, co rozstrzyga kwestię kosztu produktów, lecz niestety, dziewczyna, co ukończy 7 oddziałów szkoły powszechnej u nas, już nie idzie do służby, tylko szuka innego zawodu. Trzeba by stworzyć całą sieć szkół, bardzo tanich i o niedługim kursie, przez które musiałaby przejść każda dziewczyna, idąca na służbę. Bez świadectwa ukończenia takiej szkoły nie wolno byłoby przyjmować nikogo, nawet na pomocnicę służącej. Kurs powinienby obejmować tylko pierwsze zasady sprzątnięcia, prania i prasowania, gotowania podstawowych dań i robienia zakupów. Na tym fundamencie, przy dalszej pracy, kandydatki na służące mogłyby nabywać praktycznie dalszych wiadomości. Szczególniej, kiedy chodzi o kuchnię, dobra książka nauczylaby przyrządzania wykwintniejszych dań, o ileby czytająca ją dziewczyna знаła pierwsze zasady dobrego gotowania i obchodzenia się z narzędziami kuchennymi. Niestety, szkół takich nie mamy dotąd i nie tylko nie mamy, lecz nawet nie słyszałam, aby były projektowane.

Pani Elżbieta.



RYBA PO ŻYDOWSKU

W całości można faszerować tylko rybę bardzo dużą, a co zatem idzie, kosztowną, tam więc, gdzie rodzina jest nieliczna, a są amatorowie takiej faszerowanej ryby, można przyrządzić ją w sposób następujący: Do faszerowania najodpowiedniejszym jest zawsze szczupak, jednak w sposób tu podany, można również dobrze nafaszerować karpia, a nawet sandacza.

Na pięć osób wziąć środkowe dzwono ryby, wagi około jednego kilo, rozkładać na pięć równych kawałków, wpoprzek oczywiście, aby mieć tyle dzwon, ile osób. Z każdego kawałka wyjmujemy się mięso wraz z ością, pozostawiając przy skórce na palec grubo tego mięsa. Ości się odrzuca, a mięso sieka jaknajdrobniej, dodając dwie duże utarte na tarce cebule,

dwie bułeczki, wymoczone w wodzie i dobrze odcisnięte, jedno jajko; posolić farsz ten, popieprzyć, wyrobić doskonale i nadziać nim środek każdego kawałka tak, aby dzwona były całe. W dużej nelsonce, lub płaskim rondlu, zagotować na dwa palce wody z dużą ilością pokrajanej w paski włoszczyzny: marchwi, pietruszki, pora, selera, cebuli, dodać sporo pieprzu w ziarnkach, ziela i listek, osolić.

Jeśli jest, wrzucić jedno żdźbło szafranu, co dużo smaku dodaje. Gdy włoszczyzna zmięknie, ułożyć ostrożnie, aby się nie porozpadały, dzwona ryby, jedno obok drugiego. Smaku powinno być tylko tyle, aby rybę dobrze pokrył. Przykryć pokrywą i postawić na silny ogień; gdy zawrze, pokrywę zdjąć i gotować dwadzieścia minut na wolnym ogniu. Wyłożyć durszlakową łyżką dzwona na półmisek, obłożyć wkoło kartoflami z wody i polać sosem wraz z jarzynami, w którym się ryba gotowała. Oddzielnie podać chrzan tarty z octem. Można też tę rybę podawać na zimno, z sosu się uformuje smaczna galareta. O ile tej galarety chcemy mieć więcej, należy sos zrobić dłuższy i dodać parę listków żelatyny.

SIELAWY MARYNOWANE

Sielawy rzeczne, lub morskie, oczyścić i posolić na godzin parę. Utarzać w mące, zmieszanej z tartą bułeczką, i smażyć na maśle kokosowym, dobrym szmalcu, fryturze, lub oliwie, — tylko nie na maśle, gdyż łatwo się przypalają. Kto koniecznie chce smażyć na maśle, niech doda łyżkę dobrej oliwy, lub masła kokosowego. Gdy wszystkie usmażone, dać wystygnąć, ułożyć w salaterkę, lub duży garnek. Na wierzch położyć parę listków, kilka plasterków cytryny i kilkanaście ziarn pieprzu i ziela. Niezbyt mocny ocet zagotować z poszatkowaną włoszczyzną: marchewką, pietruszką, porami, selerem, cebulą, pieprzem, paru goździkami. Gdy jarzyny zmiękną, wystudzić i zalać zimnym rybkami. Trzymać w chłodnym miejscu dni trzy przed podaniem. Podając, ułożyć rybki na półmisku, wkoło przybrać marynowanymi jarzynkami. Stać może ta marynata w pokojowej temperaturze przeszło tydzień, nie psując się wcale.

ZEFIR JABŁECZNY

Sześć dużych jabłek upiec, przefasować przez sito, mieszać ze szklanką cukru, dodać dwa świeże białka i ucierać drewnianą łyżką w jedną stronę, aż zbieleje i kilkakrotnie przybędzie, wcisnąć sok z całej cytryny i ucierać dalej, aż tak zgęstnieje, że łyżka, pionowo wstawiona, będzie się w nim trzymała. Ułożyć w ładną kopułę na półmisku, obłożyć wkoło lekko biszkopcikami, czy makaronikami. Oddzielnie podać mleko zimne, lub słodką śmietankę. Chcąc ten zefir podać wystawniej, należy ubić krem z kwaterek kremowej śmietanki, lub śmietany, mieszać z dwiema łyżkami cukru, utłuczonego z kawałkiem wanilii, powlec tym kremem ułożony na półmisku zefir, obłożyć wokoło makaronikami, lub innymi drobnymi, lekkimi ciastkami. Po wierzchu ubrać osączonymi z syropu konfiturami. Zamiast mleka, lub śmietanki, podać w sosie syrop owocowy, odpowiedni do owoców, jakimi ubraliśmy zefir.

Pani Elżbieta.

KĄCIK GOSPODARSKI

VI.

JAK NALEŻY PRAC RADIONEM.

Dalszy ciąg z Nr. 10 z dnia 5 III. 1927 r.

P L A M Y.

Jeżeli bielizna poplamiona jest krwią, to trzeba ją najpierw namoczyć w zimnej wodzie i przeprać plamy zleka, a później dopiero prać w RADIONIE normalnie.

Świeże plamy z czerwonego wina, owoców, kawy, kakao i t. p. znikają po zwykłym wygotowaniu w RADIONIE.

Jeżeli plamy są stare, to należy wziąć cokolwiek mocniejszy roztwór RADIONU—w przybliżeniu o połowę RADIONU więcej, aniżeli normalnie.

Prawo wyłącznej produkcji idealnego środka samopiorącego „RADION” posiada Spółka Akcyjna „SATURNIA” w Warszawie, Marszałkowska 138. — Firma ta na żądanie naszych czytelników wysyła bezpłatnie próby i objaśnienia.

DOBRE RADY

Chcąc użytkować starą gąbkę, trzeba ją wygotować aż do czystej wody, doskonale wycisnąć, następnie lekko zwilżyć czystą wodą, i w szparki powkładać nasionka portulaku, lub rierzuchy, można również koniczy, prosa, lnu etc. jednym słowem, wszelkich roślinek, szybko zieleniących się. Gąbkę trzeba zawiesić w oknie na sznurkach, żeby miała dużo powietrza i światła. Co dzień rano trzeba ją skrapiać lekko szprycą, lub rozpylaczem, a w ciągu ośmiu, dziesięciu dni z gąbki zrobi się zielona, lub kwiecista kula.

* * *

Punktualność najłatwiej nabywa się w dzieciństwie. Jeżeli nie przyzwyczaimy chłopca, aby się pilnował godzin, wyznaczonych na naukę, posiłek, lub zabawę, to, skoro dorośnie, będzie zaniedbywał najważniejsze sprawy. Młoda panienka, w którą od dzieciństwa nie wpojono poczucia obowiązku, która stale się spóźnia, i zapomina o wszystkim, co czynić powinna, nie będzie dobrą żoną, matką, ani panią domu.

KORESPONDENCJE

Wszystkie Panie, piszące do Redakcji n szej, prosimy o wyraźne zamieszczanie adresów, nazwisk i datowanie listów. — Odpisujemy na listy kolejno — brak powyższych danych opóźnia porządek w odpowiedziach, — co przy tak olbrzymiej korespondencji, jaką odbierają nasze pisma, bardzo daje się odczuć.

Nauczycielce. Najmodniejsze obecnie etole są z kretów. Skunksy są bardzo trwałe, ale i bardzo kosztowne, na etole mniej używane. — Najmodniejsze są wszelkie lisy. Każde futro naturalne, nie farbowane i nie z królików, nosi się dobrze. — Firmy: Schoeneich Wacław, Aleje Jerozolimskie 8, Chowańczak, Krak-Przedmieście 17, — Kacperski, Bielańska 6, — Kowalski, Senatorska 10 należą do bardzo solidnych i godnych zaufania. — Ceny przystępniejsze mają firmy Schoeneich i Chowańczak.

Pani E. T. Żyrowice. Za cenne informacje bardzo dziękujemy — cieszymy się, że znaleźliśmy takie sprawiedliwe odczucie naszych dążeń i usiłowań. — Nie omieszkamy podzielić się wiadomościami, od Sz. Pani otrzymanymi, z Państwem K. i A. Op.

Pani A. M. Aleksandrów Kujawski. Do warszawskiej szkoły pielęgniarskiej wstąpić można 2 razy w ciągu roku — na jesieni i w lutym. Podania składać trzeba b. wcześniej — koniecznie osobiście. Kurs trwa dwa lata. Wymagane wykształcenie sześćcio-klasowe. Pierwszeństwo mają maturzystki. Adres szkoły: ul. Smolna 6 (przy szpitalu Czerwonego Krzyża). Jest to szkoła z internatem: Drugą w Warszawie mamy żydowską, i projekt otwarcia szkoły miejskiej, o którym dawno mówią i piszą. Bardzo dobra jest świeżo założona szkoła pielęgniarek w Krakowie.

Prenumeratorka ze Zduńskiej Woli. Tłuste plamy czyści się benzyną, terpentyną, amonjakiem, albo eterem. — Spróbować na kawałku, żeby kolor nie puścił. — Jak prać firanki, podawaliśmy niejednokrotnie na łamach „Bluszczy”, powtórzę jeszcze, że po należytem wykurzeniu złożyć na równe 4 części każdą firankę i prać, nie trąc, a poruszając je w letnim rozgotowanym mydle.

Już wyszedł zeszyt „Życia praktycznego”, w którym to pranie, jak i wszelkie inne rodzaje, wyczerpująco będą omówione.

Prenumeratorka z Warszawy. Nie pisze Sz. Pani, jakiego koloru jest czapka — najlepiej oczyścić ją na sucho kamieniem do czyszczenia zamszu, w kolorze odpowiednim, następnie szczoteczką drucianą, również specjalną do czyszczenia zamszu. Gdyby to nie pomagało, spróbować z pod spodu oczyszczenia kawałka benzyną, ale ostrożnie, żeby kolor nie zmienił się, a skóra nie zaciekła. Torbę umyć letnim mlekiem, albo benzyną, próbując jednego i drugiego na kawałeczku skóry, żeby przekonać się, jak reaguje na tarcie i zmoczenie.

Pani Z. G. Garwolin. Wzór Nr. 27 mamy — cena jego 2 50 zł. Po otrzymaniu tej sumy, przysłemy go natychmiast. Naturalna wielkość wzoru — 98 cm. dł., 73 cm. sz.

Pani M. G. Zagórze. W kwestji hodowli i krzyżowania gęsi łabędziowych, zechce Sz. Pani zwrócić się do „Sekcji hodowlanej Ziemianek”, Warszawa ul. Marszałkowska Nr. 149. Stowarzyszenie Ziemianek.

Państwo K. i A. Op. w Serokomli. W dopełnieniu odpowiedzi z d. 22/I 27 roku — donosimy Sz. Państwu, że zarodowych królików dostać można u pana Ottona Rettig — Bydgoszcz, ul. Fordońska Nr. 5, — i u p. Misiewiczza, Pielęszki Piaseczne (st. kolei) p. Chodecz. — Co do gatunków, korzystnych do hodowania, nazwę ich znaleźć można w książce Trybalskiego „Hodowla Królików”. Również bywają adresy w czasopiśmie „Polski Drób”, Warszawa — Kopernika 30, — Wielkopolska Izba Rolnicza — ul. Mickiewicza 33, — Poznań — udziela też chętnie adresów i informacji w tym kierunku.

Pani H. K. Łosice. Igłę dostanie Sz. Pani w sklepie p. Rozmanitowej, Warszawa, ul. Ossolińskich 8.

Nauczycielce z Grodna. Artykuł w sprawie interesującej panią ukazał się w poprzednim numerze „Bluszczy”. Wymiar poduszek trzeba zastosować do łóżek, kapy mogą być podwójne, (praktyczniejsze), lub jedna duża, rozpięta na ramie i zakończona falbaną. Do takiej kapy poduszki wściela się w środek.

Pani Z. R. Kalisz. Ze skończonemi 6-ma klasami można wstąpić na wyższy kurs seminarjum nauczycielskiego — adresy: Seminarjum żeńskie im. Orzeszkowej, Nowolipki 11. Seminarjum dla Nauczycielek Rzemiosł, Nowowiejska 43. Dla Ochrońiarek, Nowy-Świat 19. Kurs lat 5, po skończeniu szkoły powszechnej, wyprzeż wykształcenie daje możliwość wstąpienia na wyższe kursa. Oprócz państwowych seminarjów jest jeszcze Seminarjum żeńskie

Dr, J. ŚWITALSKA

PRZYJMUJE CODZIENNIE OD GODZ. 5-ej DO 7-ej.
KRUCZA 31, MIESZK. 3.

KOSMETYKA LECZNICZA, CHOROBY SKÓRNE I PŁOCIOWE, ŚWIATŁOLECZNICTWO.

nauczycielskie Katolickiego związku Polek, Krakowskie - Przedmieście 36.

Pani L. O. Montowo. Wełny dostanie Sz. Pani w Warszawie, w składzie St. Wegenki, Marszałkowska 153. Igłę włoską do robienia sztucznego futerka w firmie Rozmanit, ul. Ossolińskich 8 w Warszawie. Można również dostać wełny we wszystkich gatunkach u St. Kałamańskiego, Poznań, Plac Wolności. Sądzę, że i igłę będą tam mieli.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Kpt. z Przemyśla. Bez zobaczenia w tym wypadku nie mogą dać racjonalnych wskazówek. Możliwie ciąża może dać podobne objawy. Proszę o przeczytanie ogólnej odpowiedzi na łożotok.

Brzydka Helena. Przeczytać pielęgnację włosów i cery w książce mojej „Piękność i zdrowie w życiu kobiety”, pozatem ogólną odp. na łożotok.

Jance. Na upławy stosować przemywanie wewnętrzne: łyżeczkę soli kuchennej na litr wody letniej. Leczyć podstawowe cierpienie, w tym wypadku anemja.

Ogólna odp. na łożotok. Niema idealnie dobrej cery, nawet najpiękniejsza potrzebuje pewnych kosmetycznych zabiegów. Zależnie od ilości wydzielanego łożu z gruczołów w skórze, cera może być za sucha, pośrednia i za tłusta. Przy cerze suchej ilość łożu jest za mała, występuje łuszczenie się, liszaje i opierzchnięcia. Pielęgnacja skóry suchej powinna polegać na myciu twarzy w wodzie letniej i na wcieraniu kremu rano i wieczorem. Jeśli ktoś używa pudru to jedynie na dzień. Skóra pośrednia jest częściowo sucha, a częściowo tłusta. Koniec nosa i broda tłusta, reszta twarzy sucha. Pielęgnacja skóry pośredniej, najczęściej spotykanej, wymaga następującego postępowania. Na noc po umyciu letnią wodą spłókać zimną, wytrzeć twarz spirytusem z resorcyką 20%, rano umyć letnią wodą (mydło liljowe) wetrzeć krem, Mój puder, o ile ktoś pudru używa.

Rodzaj skóry tłustej powstaje wskutek rozszerzenia i powiększenia się gruczołów łożowych w skórze. Powiększone gruczoły powodują powiększenie się ujść gruczołowych, stąd pochodzą t. zw. pory. Wtedy skóra jest tłusta i porowata, szara i ziemista. Pory gruczołowe otwarte, zatłkane kurzem, tworzą wągry, a gdy tam przedostaną się bakterje, powstają krosty. Wągry są to czarne punkciki, występujące najczęściej na brodzie i na końcu nosa. Wągrów nie należy wyciskać palcami, gdyż mogą utworzyć się blizny. Pierwszym warunkiem leczenia łożotoku jest cierpliwość i systematyczność. Leczenie stosuje się wewnętrzne i zewnętrzne. Środki wewnętrzne — preparat z cytryny, przeczyszczające sole, wzmacniające, hemogen, szczepionki, środki te należy używać pod kierunkiem lekarza. Zewnętrzne środki: odtłuszczanie skóry systematyczne za pomocą środków odtłuszczających, siarki, spirytusu. Masaż, kąpiele przemienne i parówki. Ostatnio stosujemy ponadto światło górskie, jedynie pod kierunkiem lekarza, otrzymujemy doskonałe rezultaty

Wiesławie P. Maski gumowe na wygładzenie zmarszczek, nie dają efektów dodatnich, to samo opaski na podbródek i szyję w celu odtłuszczenia. Jedynie masaż kosmetyczny, racjonalnie prowadzony, może dać dobre wyniki... Patrz książka „Piękność i Zdro-

wie w życiu kobiety”. Żadne aparaty, ani opaski nie zastąpią masażu ręcznego, który przystosowuje się do indywidualnych potrzeb skóry.

A. S. M. Narazie odtłuścić włosy — przez sześć tygodni stosować: Spir. lavandul 100,0.

Co dwa tygodnie myć mojem mydłem płynnem. Co do farbowania, odpowiedź analogiczna — dla Mimozy.

Mary J. Czerwoność nosa jest jedną z bardzo często spotykanych dolegliwości, zwłaszcza w wieku starszym. Przyczyną jej mogą być choroby: 1) przewodu pokarmowego, 2) kobiece, 3) wiek przejściowy, 4) alkoholizm, 5) odmrożenie, 6) zbyt duża wrażliwość skóry, 7) choroby skórne. Należy leczyć podstawowe cierpienie, a potem unikać czarnej kawy, alkoholu, ostrych potraw i gorących napoi.

Leczenie. W przypadkach lżejszych polecam okłady przemienne gorące i zimne, po 10 sek. każdy, 10 okładów zimnych i 10 gorących na noc na litr wody z domieszką kwasu taninowego (10 kropel kwasu na litr wody). Na dzień Mój krem i Mój puder. Przy uporczywych wypadkach wskazane jest leczenie światłem.

Leokadi. Z opisu — bardzo poważne cierpienie; natychmiast udać się do lekarza chorób kobiecych.

M. List prywatny wysłany. Ziółka jedynie polecam pacjentkom, leczącym się stale u mnie.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3,50
suknia zwyczajna	„ 2,50
bluzka	„ 2,00
formy dzieciinne	„ 2,00
bielizna	„ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

KSIĄŻKA

p. t.

„100 Postnych i Jarskich Dań“

podaje niezwykle, smaczne i praktyczne przepisy postnych i jarskich potraw.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz”, Warszawa, Plac Zamkowy 99.

Konto P. K. O. Warszawa № 13.555.

KSIĄŻKA

p. t.

„Pranie, prasowanie, czyszczenie“

uczy wszelkich sposobów prania i utrzymania w czystości bielizny i ubrania.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysyłamy tylko po otrzymaniu należności.

Tow. Wydawn. „Bluszcz”, Warszawa, Plac Zamkowy 99.

Konto P. K. O. Warszawa № 13.555.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: WANDA PEŁCZYŃSKA (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.